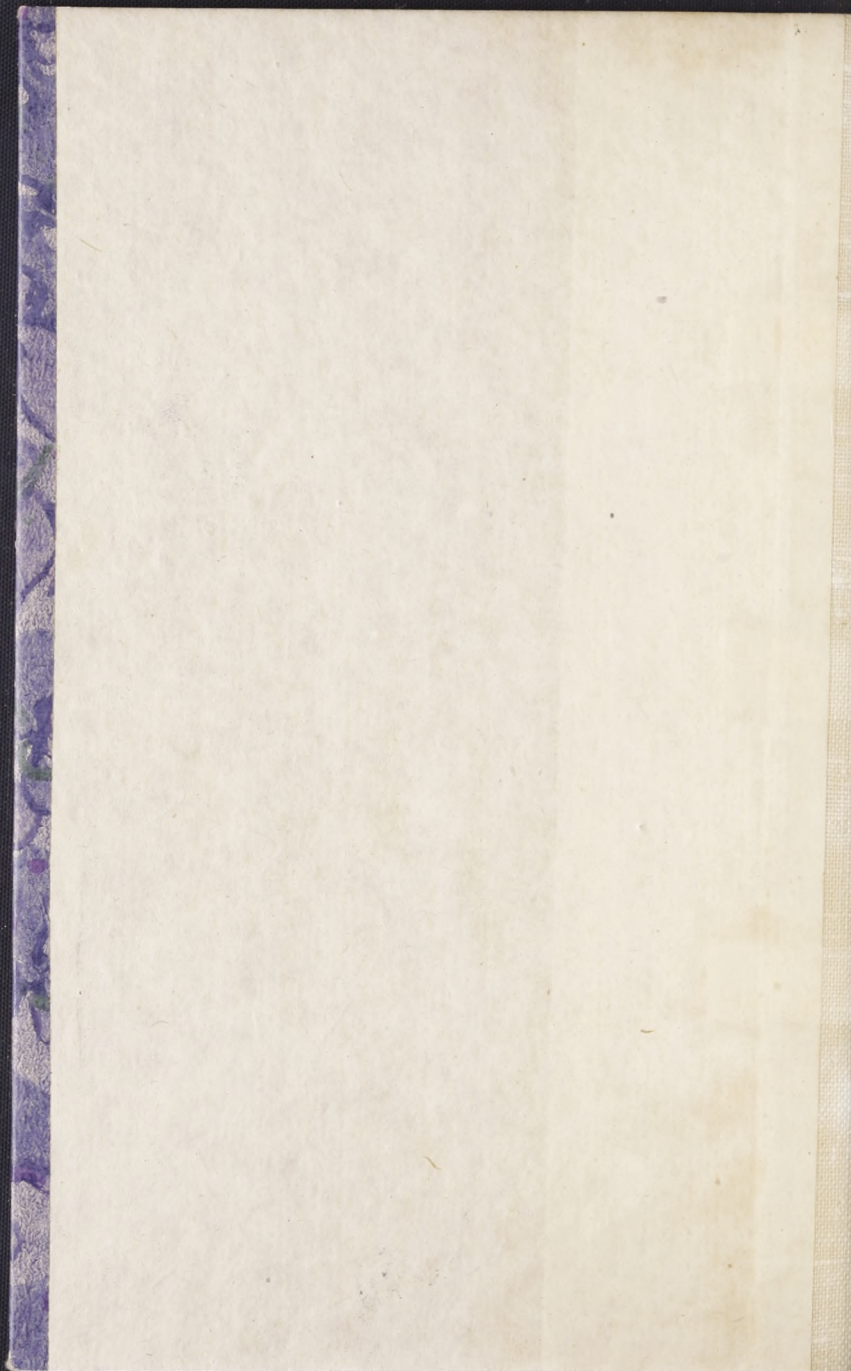
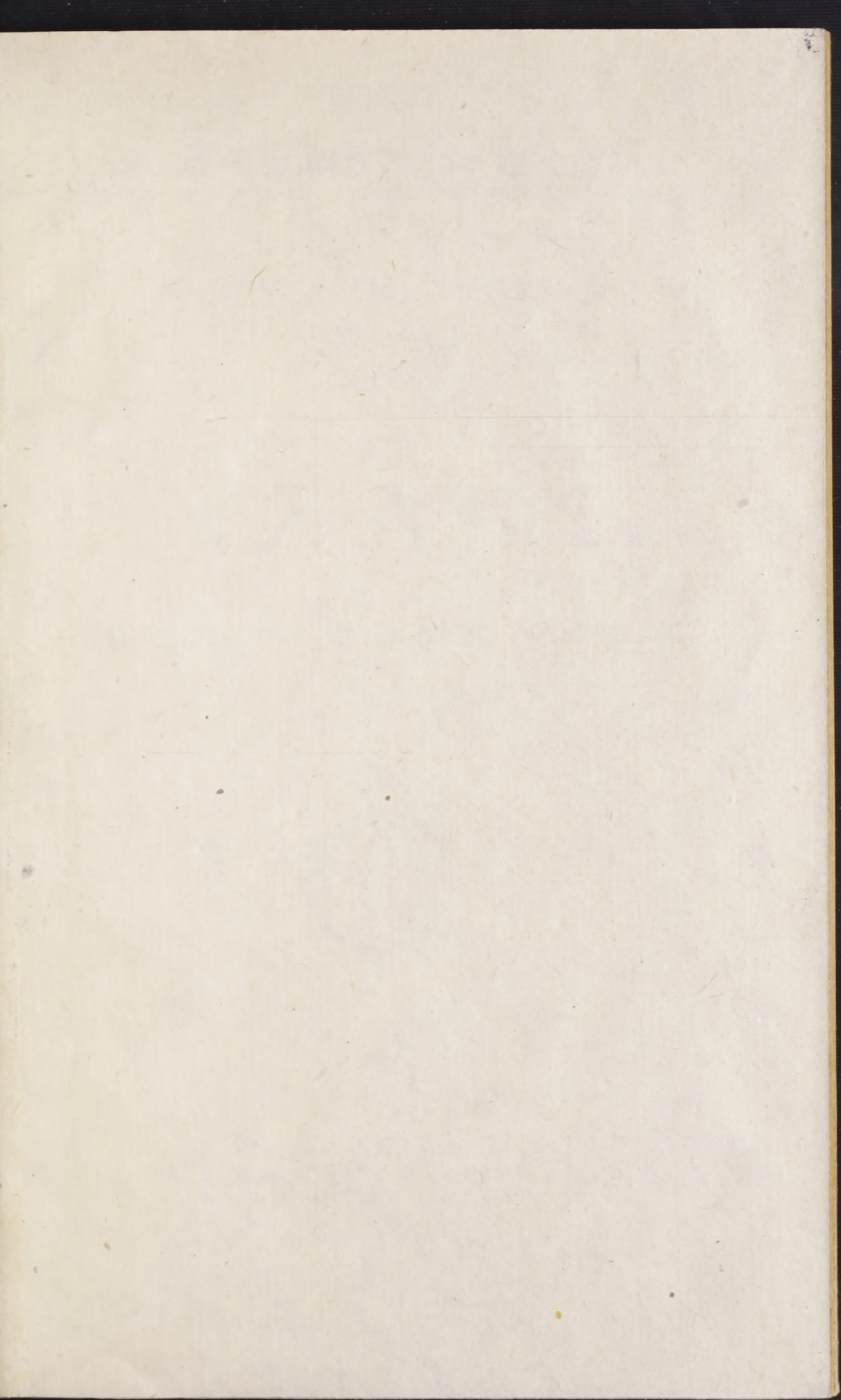
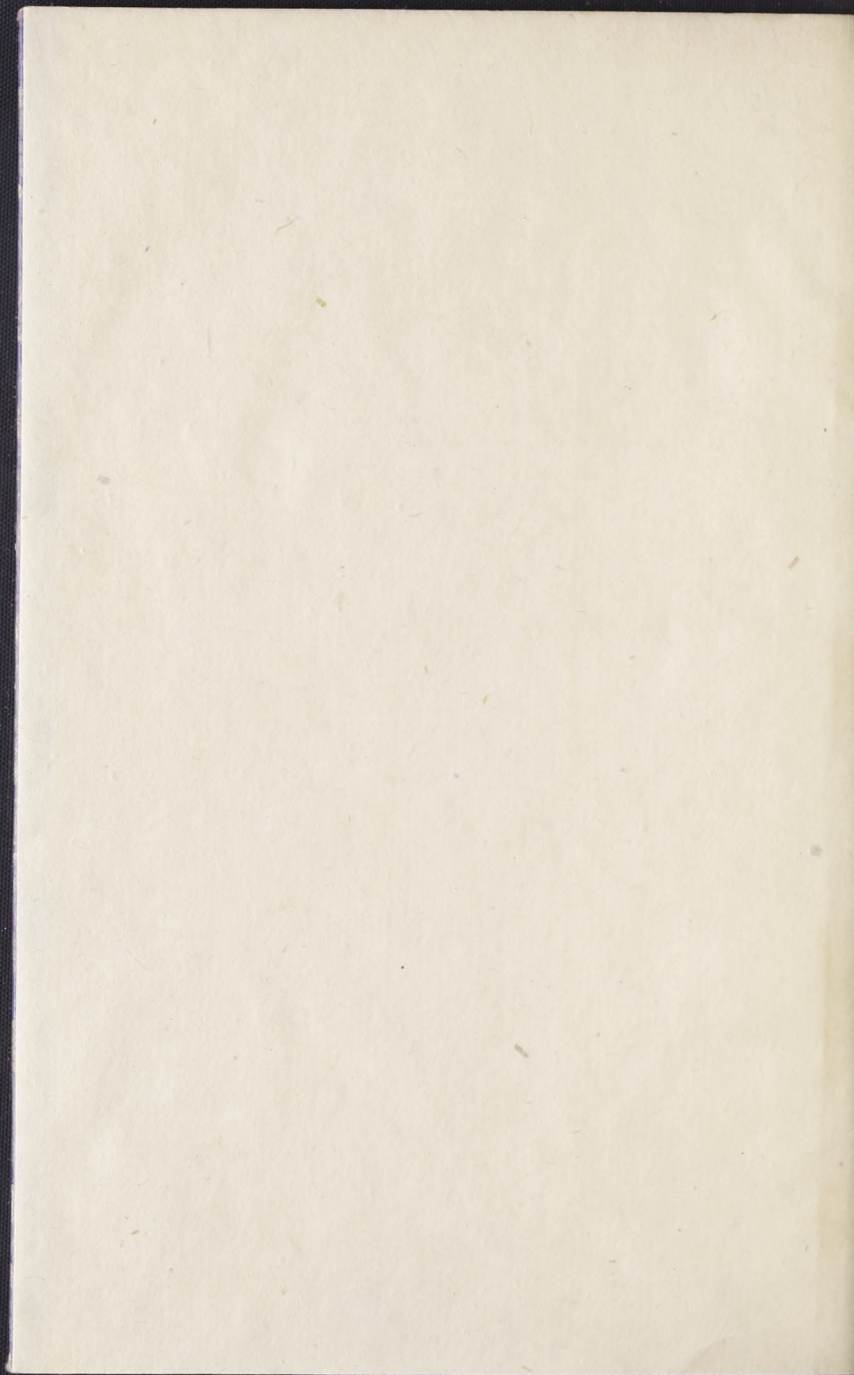


49882









19.882

Wspomnienia

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 48.

NARCYZA ŻMICHOWSKA
(GABRYELA)

— — —

PRZĄDKI

POWIEŚĆ ZE WSPOMNIENÍ DZIECINNEGO WIEKU



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPOŁKA

1907

Cena 8 kop.

BIBLOTECZKA

UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

	Kop.
1. Konopnicka Marya. Dym	6
2. » » Banasiowa	6
3. » » Nasza szkapa	10
4. » » Niemczaki	6
5. Żeromski Stefan. Siłaczka. — Na pokładzie	8
6. Prus Bolesław. Antek	8
7. » » Na wakacjach. — Katarynka	8
8. Orzeszkowa Eliza. Siteczko. — Czy pamiętasz?	8
9. » » Babunia	8
10. » » Ogniwa	8
11. » » Panna Antonina	8
12. » » A... B... C...	8
13. Sienkiewicz Henryk. Janko muzykant. — Latarnik	6
14. » » Wspomnienie z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły	8
15. » » Bartek zwycięzca	12
16. Galle Henryk. Czytanki polskie I.	30
17. » » Czytanki polskie II.	30
18. Reymont Władysław. Sąd	6
19. » » W porębie. — Przy robocie	8
20. » » Tomek Baran	12
21. » » Pewnego dnia	8
22. Junosza Klemens. Froim. — Zajac	8
23. Kraszewski J. I. Łoktek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu	6
24. » » Upiór	10
25. » » Z dziennika starego dziada	10
26. » » Profesor Milczek — Rejent Wątróbka	6
27. » » W oknie. — Nauczyciele sieroty	8

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 48.

NARCYZA ŻMICHOWSKA
(GABRYELA)

PRZĄDKI

POWIEŚĆ ZE WSPOMNIEN DZIECINNEGO WIEKU



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001002115634

I. 49.882



KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Gdzie jest taka szczęśliwa istota, która pamięta owe błogosławione, czysto chrześcijańskie wieczory przątek? Założę się, że w Polsce niewiele takich się znajduje, lecz przynajmniej ja dość szczęśliwą jestem, by stanąć w ich rzędzie. A niechże Bóg broni, żeby teraz która pani usiadła w izbie czeladnej z wrzecionem, żeby między służebne i wiejskie dziewuchy posadziła córkę swoją, wypieszczoną, wydmuchaną panienkę. Cóżby to było potem za uszanowanie dla pani? Cóżby to być mogło za zgorzenie dla panienki? Oj, prawda, prawda, nasłuchałoby się może niewiniątko słów grubych i nieprzyzwoitych żartów, które tylko po francusku czytać można. — Nie myślę ja tego zaprzeczać; według wszelkiego prawdopodobieństwa, musiały sprostaczeć obyczaje niższej klasy, od wszelkich towarzyskich stosunków z wyższemi odsuniętej; tylko mi się zdaje, że nie jej w tem wina. Kto ma więcej ukształcenia, powinien się niem z drugimi dzielić, kto ma więcej światła, drugim świecić powinien. »Nie stawiaj świecy pod korcem« — czytają wszyscy te słowa, a nikt ich czy nie rozumie, czy nie chce rozumieć. Kto ma by na pół luta więcej od innych oleju w głowie, to się

tak dobrze panoszy i odstrychuje od uboższych duchem, jak miałkiego mózgu bogacz od uboższych pieniędzmi. Żle to jest, a może nawet pierwsze od drugiego gorsze. Nie każdemu jest dane, żeby sam z siebie postępował w mądrości ludzkiej, więcej jest takich, którzy potrzebują uczyć się od innych; gdy rozumni od nich się odsuną, cóż mają począć biedni nieświadomi? Oto w głębszej jeszcze pograżają się nieświadomości, żeby w zapomnieniu chęć nawet i ową niepewną tęsknotę ku czemuś jaśniejszemu zatracić. — Co do mnie, ja tak wierzę w wygładzenie obyczajów wieśniaczych, byle się do nich towarzysko z wyższych miejsc przybliżono, jak wierzę... oto jak wierzę w pamięć kobiety-aniola, której serce moje prawdziwie macierzyńskie zawdzięcza starania. Jej przykład nauczył mnie tej wiary. Jej winnam już tak rzadkie gdzieindziej wspomnienie o wieczorze przątek.

Alboż to ja raz pamiętam, jak ona, len biały rozdzieliwszy, sama siadła przy kominie z dziewczkami, a ja przy niej na ławie, bezczynna, bo jeszcze za drobne miałam do przedzenia palce, jednak w późną noc czuwająca, tak mi się spać nie chciało, tak zawsze wypraszałam się od łóżka. Ha! trzeba też przyznać, że na dziesięć mil dokoła nigdzie równie pięknych, jak u nas, nie opowiadano bajek, a nasze prządki chwaliły się też, że i len nigdzie tak biały nie był i że lnu tak cienka nitka nie skręcona; tkacz to samo o naszych talkach powiadał, okoliczne wioski wcale temu nie przeczyły, sława naszych dziewczyn rozchodziła się daleko, i raz tylko jeden... ale właśnie to jest wspomnienie, któ-

rebym tu chciała tak wiernie opisać, jak wiernie do dziś dnia w mojej pamięci spoczywa.

Była to sobota — walne zebrało się grono, bo w poniedziałek miał tkacz przyjść po przędzywo, a jeszcze wiele talek do zmotania i do uprzedzenia się zostało. Pani przeznaczyła nagrodę dla najpilniejszej — śliczną czerwoną wstążkę, kwartę orzechów i parę rumianych jabłek, a po wsi kazała ogłosić, żeby wszystkie kobiety, umiejące tylko trzymać wrzeciono i ruszać kołowrotkiem, przyszły do dworu na robotę. Zebrało ich się też niemało; jak komin obsiadły, jak się przy małej świeczce nagromadziły, to aż się ciemno w izbie zrobiło.

Na zwykłym mojem miejscu siedziałam cichuteczko z otwartymi oczyma, bo tylko czekać było trzeba, rychło się zaczęły bajki i powieści. Pozwalała mi ich słuchać moja przybrana matka. Och! wiedziała ona dobrze o tem, że z prostych ust wieśniaczki nic tak zdroźnego nie wyjdzie, coby skazić duszę, zepsuć serce dziewczęcia mogło. Czuwała ona i nademną i nad niemi.

Owego więc sobotniego wieczora zwykłą koleją zaczęto od pieśni. Była między dziewczuchami Ulina, nie ładna, ale najwięcej umiejąca piosneczek. Ciekawa jestem, jakby mi się teraz jej głos wydał, bo wówczas, to pamiętam, że zawsze z niewymowną słuchałam jej rozkoszą. Ulina też bardzo śpiewać lubiła; jakoś nie był to śpiew wesóły, szczęśliwy, śpiew takiej, co to jej w życiu wszystko się uśmiecha, i owszem, Ulina do wesółych nawet wyrazów rzewnej, przeciągłej używała nuty, ale śpiewała zawsze, w polu nad sierpem schylona,

w oborze przy krów dojeniu, w kościele nawet, wśród wszystkich głosów piskliwych, niezgodnych czasem, wznosił się jej głos czysty i smutny: wiadać, że śpiew musiał być jej najgorętszą modlitwą. Ulina więc najpierwsza ozwała się znaną dobrze wszystkim piosenką: »Już miesiąc zaszedł, psy się uspiły«. — Szczęśliwy Karpiński — w ustach ludu żyje! — Zaraz kilka innych głosów złączyło się z Ulina, a ja słuchałam z zajęciem, jakby czego nowego, i żałowałam, że nie mogę wyrzekającej Laury o jej przechowanym ostrzedz kochanku. Kiedy skończyły, pani z dobrocią rzekła do Uliny:

— A czy usłyszymy dzisiaj co nowego?

— Oj, i coś zupełnie nowego — odpowiedziała z radością, sama się ciesząc, że jeszcze będzie mogła śpiewać, bo poczciwa Ulina nigdy się o to długo prosić nie dawała; — była tu wczoraj moja krewniaczka z Krzywicy, nauczyła mnie też ona pięknej, pięknej piosneczki.

Wszyscyśmy uszu nadstawili, ja najwięcej, a na słowo Uliny tak mi się spodobała śpiewka, że później na pamięć nauczyłam się całej. Oto jest:

Jak dzień po dniu w polu świta,
Tak dzień po dniu raniuteczko
Jasio swoją Kasię wita
Na dzień dobry piosneczką.

»Kasiu moja, Kasiu miła!
Jutrzenkać już zaświeciła,
A mnie pług czeka z robotą:
Twoją najpierw zorzę grzędę,
Dla ciebie pracować będę,
Oj, dla ciebie, to z ochotą!

Oj! dla ciebie, Kasiu droga!
Choćby mi się całe ciało
Krwawym potem oblać miało,
Będę jeszcze chwalił Boga,
Będę go chwalił na niebie,
Że dał pracować dla ciebie.
Śpij, Kasieńko, śpij, kochanie!
Tobie jeszcze wstawać wcześniej;
Ja ci śpiewam, by śpiewanie
Przypomniało Jasia we śnie.
Śpij spokojnie, jak w niedzielę,
Matula cię nie wyłaje;
Jaś za ciebie rano wstaje,
Jaś za ciebie zagon spieje.
Nie chcę krówki, nie chcę chaty,
Oj, nie chcę żadnej zapłaty,
O skarby świata nie stoję,
Tylko ty, dziewczę, bądź moje!»

Codzień w polu ranek świta,
Codzień Jasio Kasię wita,
Codzień Kasia u okienka,
Kiej malina, kiej wisienka.
Kasiu! Kasiu! jadą swaty,
Nie od Jasia, od biednego,
Pan starosta śle bogaty.
Matula się cieszy z tego.
Jaś przychodzi raniuteńko:
Nie otwarło się okienko;
Jasia piosnka prześpiewana,
Nie wyjrzała ukochana.

— Matulu, matulu miła,
Gdzie się Kasieńka podziała,
Cóżes z Kasieńką zrobiła?

— Za panam ci ją wydała.

Za pana? a za jakiego?

— Za starostę warszawskiego,
Ej, nie płacz, chłopcze, nie szlochaj,
Nie masz jednej — druga będzie,
Ta zdradziła — inną kochaj,
Ładnych dziewcząt pełno wszędzie.

— Oj, nie wszędzie, nie dla Jasia!
Dla mnie tylko jedna Kasia!
Mówcie wy sobie, co chcecie.
Jedna dla mnie Kasia w świecie!

Na zamku starosty święto:
Starosta sprawnia wesele,
Zjechało się gości wiele,
Pić, tańczyć, hulać zaczęto.
Kasia na przedzie tańczy,
Złotą suknią połyskuje,
Kasia się bawi szczęśliwa...
A u starosty podwoi,
Smutny Jasio smutnie stoi,
Smutny Jasio smutnie śpiewa:

»Kasiu moja, Kasiu miła,
Jutrzenkać już zaświeciła,
A mnie pług czeka z robotą:
Twoją najpierw zorzę grzędę
Dla ciebie pracować będę,
Oj, dla ciebie, to z ochotą!
Oj, dla ciebie, Kasiu droga,
Choćby mi się całe ciało
Krwawym potem oblać miało,
Będę jeszcze chwalił Boga,
Będę go chwalił na niebie,
Że dał pracować dla ciebie.
Śpij, Kasieńko, śpij, kochanie,
Tobie jeszcze wstawać wcześniej;
Ja ci śpiewam, by śpiewanie
Przypomniało Jasia we śnie.
Śpij spokojnie, jak w niedzielę,

Matula cię nie wyłaje —
Jaś za ciebie rano wstaje,
Jaś za ciebie zagon spieje.
Nie chciałem krówki ni chaty,
Nie chciałem żadnej zapłaty,
Ciebie chciałem, Kasiu miła,
Tyś mną biednym pogardziła!
Kiedys taka, szydzisz z biedy,
Bądź-że sobie starościną;
Powiedzą ci ludzie kiedy,
Kto mej śmierci był przyczyną.

Kasia piosnkę usłyszała,
W rzewne łzy się rozplakała,
Przez trzy komnaty skoczyła,
Przez trzy komnaty, trzy progi,
Na szyję mu się rzuciła:

— Ty mój Jasiu, ty mój drogi!
Weź, starosto, szaty złote,
Odbierz wszystko co twojego,
Ja mam tylko serce, cnotę,
Serce — cnota dla biednego,
Serce — cnota Jasia mego!

Pochwaliły wszystkie prządki piosenkę Uliny,
bo prządki nie mają wybrednego gustu. Któraś
z nich ozwała się nareszcie, żeby zacząć bajki, ale
dziecięcy głosik wzniosł inną prośbę:

— Ulinko, a jeszcze nie śpiewałaś o Kalinie —
zaśpiewaj, moja Ulinko!

I przystano na prośby dziecka, któremu ta
piosneczka najulubieńszą była:

Siostro moja, Kalino,
Schowaj się między skały:
Panicz idzie doliną,
Panicz piękny, niestały.

Niech cię ostre gór brzegi,
Niech potoki i śniegi,
Niech cię lasy osłonią
Przed niestałego dłonią.
Siostró moja, Kalino,
Lepiej rosnać na skale,
Lepiej czekać aż spłyną
Mętne potoku fale,
Lepiej w śniegu zimowym,
Lepiej w lesie jodłowym,
I przed słońcem się schować
W jak najgłębsze ukrycie,
Niż potem całe życie
Niestałego żałować.
Siostró moja, Kalino,
Twardszą ma, niżli skały,
Twardszą duszę niestały.
Siostró moja, Kalino,
Potok płynie doliną;
Niżli kropli w potoku,
Więcej będzie łez w oku.
Zimne śniegi z lutego,
Zimniejsze serce jego.
Choć w lasach ciemno tobie,
Kalino, ciemniej w grobie!

— Ulinko, a o łowach: — Pojechali na łów,
na łów...

— Och! panienka, to widzę, już żadnej bajki
nie chce dzisiaj usłyszeć — odezwała się Petronela
kowalka.

I owszem, bardzo bajki lubiłam, tylko, kiedy
pierwej zaczęli śpiewać, to mnie tak się i ta i ta
piosenka podobała, że radabym była wszystkie od-
razu usłyszeć, a nawzajem, kiedy opowiadano, to
chociażby najweselszy koniec każdej bajki mnie

zasmucał. Petroneli zaś bardzo szło o to, żeby prędko przejść do bajek, bo w bajkach nie było nad nią bieglejszej. Pamiętam ją dziś jeszcze — wysoka, silna, przy ciężkiej pracy z najmocniejszymi parobkami szła nieraz w zawody. Miała czarne włosy, czoło w skroniach szerokie, pod dwiema równo zakreślonymi brwiami niebieskie, pociągłe oczy, twarz kościstą, okrągłą, dobrze słońcem zrumienioną, a w świeżych, jak korale, ustach rząd takich równych, takich białych zębów, żeby je niejedna wielka pani, gdyby można było, dukatami odkupiła. Petronela śmiała się też często, i mówiono, że nietylko do swego męża, ale — kto wie? — może przez zazdrość tak gadały kobiety, bo w całej wsi ona za najpiękniejszą uchodziła. Czemużby między wieśniaczkami lepiej było, niż na całym świecie? Och! ja wcale na ich korzyść kłamać nie chcę, ja prawdę zawsze i o wszystkim powiem, a jak nie dadzą prawdy mówić — wielka rzecz — to zamilczę. — Bądź co bądź, kowalka zawsze bardzo moralne opowiadała bajki i najczęściej z nową jaką przyszła na wieczorynkę. Zwykle ustępowała pierwszeństwa mniej wprawnym, dopiero, gdy one wyczerpnęły już zwyczajne powieści o czarownicach, o zaklętych księżniczkach, o sygnetach, o dwóch braciach mądrych a trzecim głupim, który zawsze lepiej, niż mądrzy, wychodził, wtenczas odzywała się kowalka, i wszyscy jej z największą słuchali uwagą. A kiedy przyszło mówić o strachach, to aż się zimno robiło, jakie to opowiadała cuda, gdyż trzeba jeszcze dodać, że strachy były jakby osobnym rozdziałem każdego

wieczoru; zaczynało się o nich mówić koło dziewiątej, kiedy łuczywo dogorywało na kominku, a świeczka w drugim kącie izby ostatnimi połykami świeciła.

Jak mnie też mogli pozwolić takich baśni słuchać! Och! Bóg widzi nie byłam ja pierzchliwym, rozmazgajonem dzieckiem; właśnie wtedy miałam najwięcej odwagi, kiedy jeszcze w najlepsze powieści o strachach słuchałam, — a jednak wierzyłam w nie całą wiarą dziecięcia, tylko że wiejskiem powietrzem wykarmione ciało, ciągłym ruchem wzmocnione nerwy nie przepuszczały lękliwości do serca. Jeśli kiedy myślałam o słyszanych bajkach, tom zawsze dodawała w duchu: »Ach! gdyby mi się co podobnego zdarzyło!« Teraz już wiele, wiele lat minęło od owych chwil dzieciennego wieku, wiele czasów nad kajetami i książkami przesiedziałam, teraz już nie wierzę w strachy, a nie mam mojej dawnej fizycznej odwagi.

Lecz wracając się do kowalki, ona w pamiętną mi sobotę dwie opowiadała bajki. Naprzód w pierwszej z kolei tak mówiła:

»Był to jeden król bardzo bogaty, miał syna, którego z całej duszy kochał. Dał mu połowę swego królestwa, sto prześlicznych koni, złota pełne skrzynie i kazał mu przywieźć najpiękniejszą księżniczkę za żonę. Ale królewic niczego nie chciał, królewic był blady, smutny, zawsze chodził zamyślony i martwił tem swego ojca. Aż nakoniec jednego razu, nie mogąc wytrzymać, rzucił się do nóg królowi i tak go zaczął prosić:

— Mój ojcze! już mi dałeś wszystko, co mi

dać mogłeś, a ja przecie weselszy nie jestem. Oto lepiej odbierz wszystko, a mnie pozwól, niech sobie w świat pójdę, bo mnie tu strasznie ciężko, nudno.

Król, słysząc tę mowę, załamał ręce i byłby płakał może, ale wy wiecie, że Bóg daje królom takie oczy, co nigdy nie płaczą, i takie usta, co się wiecznie śmieją.

— Mój synu — rzekł do królewica — przez Boga namyśl się, co tobie jest w głowie? Tu ci przecież najlepiej, tu wygodnie, tu ciepło, stoły suto zastawne, a dyamentów, jak kamieni w polu.

Lecz królewic ciągle odpowiadał:

— Tu mnie strasznie ciężko, nudno! Pozwól, ojcze, niech w świat pójdę, niech zobaczę, jak to może być głodno, kiedy chleba niema. Pozwól, ojcze, może ja też gdzie do piękniejszego trafię królestwa, gdzieby ludzie nie umierali — bo cóż to wszystko znaczy, co my tutaj mamy: przyjdzie śmierć kościana i wszystko jej, nie nasze będzie.

Tak długo, długo prosił królewic, że aż nakoniec musiał mu król pozwolić według tej dziwnej chęci działać. Dał na drogę synowi przepysznego konia, worek pełny dukatów i starego sługę żołnierza, który niegdyś królewskie dziecko na swoich rękach wypiastrzał.

Piękna księżniczka stała w oknie, a udawała, że niby płacze za wyjeżdżającym kochankiem.

Król najkosztowniejsze swoje skarby wyniósł przed próg domu, ażeby ich widokiem przywabił oddalającego się syna; nic nie pomogło. Ruszył królewic z przed ojcowskiego zamku, aż go taki



obłok kurzu zasłonił, że w nim tylko niekiedy mięgały złote końskie podkowy, a stary żołnierz, jak mógł, pędził za nim na swoim małym czarnym koniku.

Jechali trzy dni i dwie nocy, a trzeciego wieczora wjechali w ogromną puszcę. — Była to taka ogromna puszcza, że ją ledwo przez dziesięć lat, i to ciągle galopem jadąc, można było wzdłuż przejechać. A dokoła ciemne sosny rosły, a nigdzie ogień choćby w najbiedniejszej chałupie nie zaświecił, a dla koni i drobinki trawy nie było, a wieczór zapadał, noc ciemna się zbliżała. Och! wtedy stary żołnierz okropnie się przelękł i powiedział do królewica:

— Mój panie, mój panie, wróćmy się do domu.

Lecz królewic mu odpowiedział:

— Wróć się ty sam, mój poczciwy żołnierzu, bo gdybym nawet jutro miał tu umrzeć, to dziś już wtył się nie wrócę, a jednak wiesz dobrze, że ja nie chcę umierać.

Żołnierz smutnie spuścił głowę i jechał dalej za królewicem, bo go nie chciał w takiej złej godzinie opuścić. Już dobrze się w puszcę zagłębili, gdy zmęczony a słaby koń żołnierza stanął. Żołnierz zsiadł z niego i piechotą przy królewicu biegł, istnie jak wierny pies przy swoim panu. Aż dopiero królewic, spostrzegłszy to, sam zsiadł z konia i rzekł znowu do sługi:

— Mój poczciwy żołnierzu, weź ty mego konia i moje złoto, a wracaj sam sobie do ojca króla; na co tobie marnie z mojej przyczyny ginąć?

— Panie, panie — odpowiedział żołnierz na

to — gdzieżbym ja śmiał bez ciebie się pokazać twemu ojcu królowi?

A królewic odpowiedział mu:

— Odprowadzisz konia i powiesz, że ja do najśliczniejszego wjechałem kraju i ciebie z tą wiadomością posyłam.

A żołnierz rzekł znowu:

— Panie, panie, jakżeż jabym mógł ciebie samego w tak złej doli zostawić, a toczy mi się chyba serce z żalu za tobą rozpekło!

A królewic, już trochę zniecierpliwiony, odpowiedział żołnierzowi:

— Wracaj się prędko, żołnierzu, bo ja ci mówię, że zaiste jeden tylko z nas przejść tę puszcę może, a przez wszystkich świętych, ja się już nie cofnę. Wracaj, wracaj, mój wierny żołnierzu, jeśli mnie samego nie chcesz na wielkie wystawić niebezpieczeństwo. Tobie niepodobna i niepotrzebna rzecz ta podróż, a mnie ciągle coś szepce do ucha, żeby iść dalej, a dalej.

Rozpłakał się stary żołnierz, królewic mu dał pieniądze i konia, uściskali się potem, jak dwaj bracia, i żołnierz pojechał tą samą drogą, którą do puszczy przybyli, a królewic naprzód poszedł. Królewicowi było nakoniec i głodno i chłodno, jednak dalej postępował. Szedł, szedł długo — aż wtem spotyka trzech zbójców, bardzo się z sobą kłócących. Jeden zbójca uchwycił królewica za rękę i okropnym głosem odezwał się do niego:

— Oto widzisz, człowieku, nas tu jest trzech i mamy trzy rzeczy, na których podział zgodzić się nie możemy. Mamy taki koc, że, jak się nim

kto przykryje, to nikt go z ludzi wtedy nie zobaczy: dla zbójcy i złodzieja jakież to skarb wielki!

Ale mamy jeszcze takiego konia, co po powietrzu lata i tam każdego niesie, gdzie tylko mu się rozkaże: dla podróżnych i śpieszących się cóż to za dobro nieocenione!

Ale mamy jeszcze taką złotą gałkę, która, kiedy się nią potoczy, to póty leci, aż tam się zatrzyma, gdzie skarb zakopany leży: dla wszystkich ludzi na świecie cóż to za pożądana wskazówka!

Otóż powiedz, człowieku, co któremu się należy, — bo, jak nas dobrze nie rozsądzisz, to pewna śmierć twoja.

Królewic pomyślał trochę i tak rzekł do zbójców:

— Mnie się zdaje, panowie zbójcy, że wszyscy do wszystkiego macie równe prawo, ale ponieważ gałka złota i najwięcej warta i każdemu z was najlepiej się podoba, więc pozwólcie, niech ja ją rzucę: kto najpierwszy dogoni gałkę, to ją sobie weźmie, kto drugi przybiegnie, będzie miał konia, a trzeciemu koc się dostanie. Podobno tak będzie najlepiej, nie mówiąc o tem jeszcze, że się gałka przy zakopanym skarbie zatrzyma i że wam więcej złota do podziału przybędzie.

Zbójce spojrzeli po sobie i dali znak królewicowi, że im się ten sąd podoba, a królewic, odwróciwszy się ku drodze, którą jego żołnierz odjechał, jak cisnął gałką, to tak, że o ćwierć mili za jedną razą odskoczyła; zbójce dopiero w poгон za nią, a ona coraz, coraz prędzej biegła, aż

przebiegła koło żołnierza, co już był kawał drogi odjechał.

Żołnierz zdziwiony popędził za nią na koniu, zatrzymał się w miejscu, gdzie gałka stanęła, chciał ją podnieść, ale jak gdyby w ziemię wrosła, trzeba ją było siłą wrywać. Żołnierz wyrwał — a tu pod spodem złoto. Zaczął kopać, znalazł wielkie skarby, wrócił z nimi do króla i powiedział, że to wszystko od syna jego dostał, i król się cieszył, był spokojny. A zbójcy ciągle biegli, ze zmęczenia pomarli, a królewic tymczasem odział się w koc i krzyknął:

— Dalej, dalej, koniu! Nieś mnie tam, gdzie nie umierają ludzie ni zwierzęta.

Koń wszystkiemi czterema kopytami zerwał się z ziemi i leciał po chmurach, jak po bitej drodze, a jak z krzemienia od podkowy, tak z obłoków od jego kopyt gwiazdy, niby iskry, przyskały. I długo, długo lecieli, aż się koń zatrzymał na prześlicznej łące, przed cudownym pałacem, a na tej łące trawa była jedwabna, a na tym pałacu same dyamenty świeciły, a dokoła wysokie drzewa rosły, a na drzewach mnóstwo było najpiękniejszych owoców.

Królewic obszedł pałac dokoła, nigdzie nie mógł drzwi odnaleźć, chciał urwać owoców, nie udało mu się, bo to były zaczarowane owoce, które tylko z okien pałacu zbierać się dawały. Puścił konia na łąkę, sam, nie wiedząc co robić, zaczął smutnie się przechadzać, aż wtem tak miły, tak piękny śpiew dał się słyszeć, że zdumiony królewic o głodzie i o zmęczeniu zapomniał.

Skoro śpiew ustał, otworzyło się okno i spuściła się z niego na złotym tronie piękna panna, jakiej nigdy ludzkie oczy nie widziały. Była cała biało ubrana, w srebrzystej sukni, a na głowie miała wieniec ze złotych liści.

Nie postrzegła królewica, bo był kocem owinięty, pobiegła na łąkę, uzbierała ślicznych kwiatów, w koralowy dzbanek zaczerpnęła wody ze źródła, bo też tam w pobliżu było i źródło, jak szkło czyste, a potem znowuż na tronie swoim siadła i wzniosła się do góry; lecz tą razą już nie sama była, usiadł przy niej królewic, a zawsze w swój koc owinięty.

Kiedy się już do pałacu dostali, wyszło sześć jeszcze piękniej ubranych kobiet i odebrało od siostry uzbierane kwiaty i koralowy dzbanek. Wszystkie po kolei z niego piły; zaczęły potem robić z kwiatów równianki i rozmawiać z sobą, a kiedy mówiły, to zawsze takim miłym śpiewem, że królewic dosyć się go nasłuchać nie mógł. A jedna z nich odezwała się do tej, z którą on przybył:

— I cóż, siostrze, tobie tęskno! My wszystkie mamy kochanków, tyś sobie żadnego jeszcze upatrzeć nie mogła?

— O, bo ja czekam na królewica, któryby sam do mnie przyszedł, nie żebym ja sobie po niego chodziła.

— To jeszcze długo będziesz czekała, siostrze, bo jakże tu może przyjechać królewic?

— Niech przyjedzie obłokiem, niech odstąpi skarbów, złota, to mu podam wody z koralowego dzbanka, to go sobie za męża wezmę.

Jak to usłyszał królewic, tak zrzucił z siebie koc, uklęknął przed śliczną panną i odezwał się do niej:

Obłokiem tu przyjechałem
Po jasnym niebie,
Złota, skarbów zaniechałem,
By znaleźć ciebie!

I tak jej wszystko w wierszach opowiedział, i panna podała mu wody z koralowego dzbanka i rzekła do niego, albo raczej zaśpiewała:

— Jesteś teraz mężem moim w nieumierającym świecie i póty nim będziesz, póki się sam stąd nie wydalisz.

— I koniec już? — zapytała jedna z dziewczyn.

— Właśnie też koniec — odpowiedziała Petronela z przyciskiem — a cóż to, śmierć miała sobie spokojnie po ziemi wędrować, kiedy przed nią jeden człowiek, a do tego królewic uciekł? O bynajmniej! Śmierć nie tak łatwo daje się oszukać; zaczęła po wszystkie strony wszystkich królestw biegać, szukając ciągle swego królewica, a że nie mogła na ziemi go znaleźć, domyśliła się, że gdzieś w powietrzu być musi, i nad tem już tylko swoją pustą suszyła głowę, żeby go na dół przywabić.

Tymczasem królewic, jak żył, tak żył. Owoce zbierał razem z sześcioma mężami sześciu sióstr swojej żony, z żoną rwał kwiaty na łące, chodził po wodę źródlaną, od najśłodsze go słodszy miodu, i nie myślał nawet, że czas ciągle ubiega.

Raz jednak zasmucił się i rzekł do swojej

kochanki, bo tam kochanka zawsze to samo zna-
czyła, co żona:

— Słuchaj-no, kochanko moja, chciałbym ja
bardzo na ziemię powrócić i zobaczyć, co się też
dzieje w królestwie mojem, co w domu ojca
mojego?

A żona mu na to:

— Mój śliczny królewicu, dawno już wody
przeplłynęły nad domem twego ojca, dawno już
porobiły się przepaści z najwyższych gór twego
królestwa. Nie oddalaj się, mój królewicu, bo nie
wrócisz więcej.

Lecz on mówił z wielką pewnością:

— Ej, wrócę, zobaczysz, że wrócę. Nie zsiądę
z mego konia i tylko na dawniejszą swoją ziemię
z chmury choć raz spojrzę.

— Nic nie zobaczysz, śliczny królewicu, bo
tam już jeno wody a przepaści.

— Gdzieby to prawdą być mogło? Przecież
zostawiłem śliczne ogrody i żyzne pola w dziedzi-
ctwie mojem.

— A jakże ci się zdaje, czy dawno już temu?

— Ot tak, może być ze trzy lata.

— Jest już trzy tysiące lat. Nie jedź, nie jedź,
mój królewicu, bo nie wrócisz więcej.

Ale, jak on usłyszał, że już trzy tysiące lat
minęło, tak go jeszcze większa ciekawość zdjęła.
Nic nie mówiąc żonie, sam się spuścił na łąkę,
odział kocem, dosiadł konia i, jak prędko niegdyś
z ziemi był przyjechał, tak prędko znowuż ku ziemi
się spuszczał.

— Nieś mnie, kędy było królestwo moje! — krzyknął królewic koniowi.

A koń niósł go bardzo prędko, a królewic wydziwować się nie mógł, co to przez ten czas z ziemią się zrobiło, jakie pyszne grody się wzniosły, jakie ogromne domy po wodach pływały; coraz coś piękniejszego nęciło go, żeby się przybliżył. — Ale królewic, pamiętny na to, co żonie przyrzekł, silnie trzymał za cugle, wszelkim pokusom się opierał. Nakoniec i koń się zatrzymał. Spojrzał królewic na dół, aż tu w jego oczach wszystko tak, jak dawniej, było: więc pomyślał sobie:

— Mój Boże, co mnie też powiedziała moja żona z nieumierającego świata, że dawno wody przepłynęły nad ojcowskim domem i że przepaści porobiły się z najwyższych gór królestwa mojego; przecie tu jest wszystko, jak gdybym ja był wczoraj wyjechał dopiero.

Królewic patrzył na dół z coraz większą ciekawością i, co chwilka, to bardziej się spuszczał, tak, że nawet mógł wszystko słyszeć, co na ziemi mówiono. Aż tu mu przed oczy wychodzą dworscy i niosą śliczne ubiory, pełne złota skrzynie i biedują, że niema dobrego, jedyne tych skarbów dziedzica.

Królewic na swoim koniu, kocem odziany, cichuteczko siedział.

A tu wychodzi stary żołnierz i zaczyna go chwalić i zaczyna wyrzekać, że już swojego młodego pana nigdy nie obaczy.

Królewic na swoim koniu, kocem odziany, cichuteczko siedział.

A tu wychodzi stary ojciec król i woła: —
»Mój synu! mój synu! gdzież ty jesteś?«

Królewic na swoim koniu, kocem odziany, cichuteczko siedział.

A tu wychodzi piękna księżniczka, dawna jego narzeczona, i jak zacznie śpiewać: — »Dobrze, dobrze, że królewica złe duchy porwały, bo był brzydki, zły i głupi« — tak królewic rozgniewany zrzuca koc, puszcza konia i leci prosto na ziemię, wołając całym głosem: — »Niegodziwa!« — A tu go śmierć co prędzej za rękę porwie.

— Ha, mam cię ptaszku! już przez trzy tysiące lat szukam cię po ziemi, już wszelkimi przywabiam sposobami, a ty zawsze w chmurach się chowałeś — ha! mam cię teraz.

I, nie mówiąc wiele, jednym zamachem kosa głowę mu ucięła, a ciało wrzuciła do morza. Bo naprawdę morza i przepaści były na miejscu dawnego królestwa, i tylko śmierć zwodnica kłamliwe na nich pokładła obrazy.

— Cóż powiedziała żona z nieumierającego świata, gdy jej mąż nie powrócił? — pytała pani kowalki.

— Ha, moja imościulku, zwyczajnie, jak poczciwe kobiecisko, długo była smutna. Inne siostry nieraz jej mówiły:

— Widzisz, czemu to ci się królewica zachciało? Było razem z nami pięknego pasterza sobie sprowadzić, niczy nie zostawił na ziemi i za niczemby też nie tęsknił, a tym królewicom to zawsze za królestwem markotno.

Nakoniec biedna wdowa, widząc, że tu już

pewno mąż nie wróci, tak sobie nieumierający świat sprzykrzyła, że raz, zobaczywszy królewskiego konia, który sam wrócił na łąkę przed pałac, bo mu na niej bardzo trawa smakowała, siadła mu na grzbiet i tam się nieść kazała, gdzie jej mąż umarł, a przyjechawszy nad wielkie wody, zmówiła Ojciec nasz, Zdrowaś Marya i skoczyła w morze.

Teraz więc w nieumierającym świecie sześć par jest tylko, i ja tam mieszkam także, ale, że dziś słyszałam, jakoby wiele lnu do uprzedzenia było na poniedziałek, więc konno przyjechałam z chmur.

— Dobrze przynajmniej, że nie na łopacie — odezwała się Jagusia, wesola, rumiana sołtysowa córka.

Śmiali się wszyscy, jak z czego dowcipnego, a stąd o czarownicach mowa, a od czarownic do wilkołaków, a od wilkołaków do upiorów szło, niby z kłębka wywinał. Ale niemałe wszystkich było podziwienie, gdy za ukończoną powieścią z kąta izby jakiś dziwny, nieznany głos się odzywał: — »I cóż to strasznego?« — Zrazu nie bardzo uważały na tę przymówkę opowiadające, lecz, im okropniejsze przytaczano zdarzenia, z tem większym przy-ciskiem, z tem większem szyderstwem głos powtarzał swoje: »I cóż to strasznego?«

Spojrzeli wszyscy ku ciemnemu zakątowi izby, gdzie siedziała wymawiająca te wyrazy prządka, i wtenczas spostrzeżono się dopiero, że była nieznaną wszystkim z naszego grona. Zaiste musiał strach jakiś przejąć najciekawsze, kiedy jej się nie śmiały wprost spytać, kto ona i skąd przyszła?

Nakoniec zwrócili się wszyscy ku Petroneli, żeby ona przecież z tak okropną wystąpiła historią, żeby już owa przybyszowa prądka nie śmiała się zapytać, co w niej jest tak straszego.

Petronela z pewnym rodzajem zadowolonej próżności, zmieniając swój głos czysty, prędki i wesoły na smutną pociągłą mowę, taką powieść zaczęła:

— Ubogi starzec miał jedynaczkę córkę, prześliczną dziewczynę. Kochał ją, pieścił, psuł, jakby sobie w chacie królownę jaką wychowywał, a nie przyszłą na zgrzybiałe lata wyrękę. Dziewczyna myślała tylko o tańcach i strojach. Czasem po dni kilka pacierza nie mówiła, a jeśli kiedy spojrzała w niebo, to chyba myśląc sobie: »Żebym to ja mieć mogła taką błękitną sukienkę, jak niebo, takie srebrne trzewiczki, jak chmury, taką złotą koronę, jak słońce, tyle dyamentów, ile gwiazd błyska w pogodnej nocy zimowej, i tyle pereł, ile rosy w wieczór letni spada«.

Juścić pewnie ojciec byłby sobie dał krwi utoczyć, żeby dziewczyna te wszystkie zbytki miała, ale biedak przy ciężkiej pracy ledwo się w kilkanaście lat zebrał na kupienie sznura koralu. Dziewczynie też nudno i tęskno było w ojcowskiej chalupie. Aż razu jednego w lecie poszła sobie na pole chabru i innych kwiatów do przypstrzenia uezierać. Zbierała długo, długo, fartuch napęlniła cały, i w obu rękach było jeszcze co trzymać. Wtem od bitego gościńca zatętniało coś na drodze: ciekawa dziewczyna poleciała co prędszej, ale aż stanęła, jak wryta, na niespodziewany widok. Była

to przepyszna złocista kareta, za nią mnogi orszak konnych rycerzy, a z karety wyglądała głowa mężczyzny, tak pięknego, jak ona była piękną. Gdy się oboje postrzegli, to już nie mogli i nie chcieli patrzeć gdzieindziej. Książę, bo to był bogaty i możny książę ten śliczny chłopiec, kazał stanąć, zawołał dziewczyny i rzekł jej:

Piękna jesteś, dziewczę moje,
Jako anioł w niebie —
Pojeźdź ze mną — perły, stroje,
Wszystko dam za ciebie.

A ona też z radością i bez myśli odpowiedziała mu:

— Och! pojadę, pojadę, mój śliczny panie, i będę twoją!

Książę wyciągnął do niej ręce i posadził obok siebie, a ona, wsiadając, baczyła tylko, żeby pięknych kwiateczków nie uszkodzić sobie. Dopiero, gdy już konie ruszyły: »Stańmy, stańmy! — zawołała — niech ja tylko na chwilę do chaty powrócę«.

Księżciu na myśl przyszło, że piękna dziewczyna ma w chacie ojca i matkę, z któremi by się pożegnać chciała, więc, jej obie ręce na szyję zarzuciwszy, mówił:

Wpierw, nim wrócisz do twej chaty,
Pojmę cię za żonę,
Jedwabne ci sprawię szaty
I złotą koronę.

A ona znowu jemu: — »Stańmy, stańmy, niech ja tylko na chwilę wróczę, bo zostawiłam w skrzyni mój piękny sznur koralii«.

Księżę, widząc, że ona tylko tego żałuje, śmiać się zaczął i pocieszał ją, że nie tylko da jej tyle sznurów koralu, ile sama zechce, lecz tyle dyamentów nawet, ile ma kwiatków z sobą. Ona też, chcąc się zaraz dowiedzieć, ile to będzie, zaczęła liczyć kwiateczki i przeliczone ciskała po jednym za sobą i liczyła bardzo długo, a konie biegły przez wieś i miasta, przez pola i bory, bo księżę był z dalekiego, dalekiego kraju.

Tymczasem biedny ojciec czeka do wieczora — córki niema; przez noc całą chodzi niespokojny, pyta sąsiadów, woła po lesie — córki jak niema, tak niema. Nakoniec dowiaduje się, że ją widzieli, jak w zbożach chaber zbierała; idzie, kędy go rosło najwięcej, płacze, chodzi na wszystkie strony i spostrzega wreszcie, jak gdyby kto umyślnie dróżkę kwiatami wysypał.

— Otóż to — pomyślał sobie — pewnie mi zbójcy moją jedyną córkę uwieźli, a ona dla poznaki te chabry po drodze ciskała.

I szedł, szedł za nimi, a ciągle tak płakał, że za każdy wyrzucony kwiatek jemu łza jedna na siwą brodę spadała. Ani gorące słońce południa, ani zimna rosa nocy jego drogi nie wstrzymały. Głód, niewczas, zmęczenie, wszystko znosił, myśląc tylko o córce swojej, a kiedy mu na ślad kwiateczków zabrakło, to pytał ludzi przechodniów:

— Nie widzieliście wy mojej córki, mojej pięknej córki? Biała, jak lilia, rumiana, jak jagoda, niby krucze pióra czarne są jej włosy, niby szklana wiśnia świeże jej usteczka.

A ludzie mówili mu wtedy, że to zapewne ta

dziewczyna, co z bogatym panem w złocistej jechała karecie, i poczciwy staruszek nie wiedział, co już myśleć sobie, i tylko ciągle, ciągle szedł dalej. Aż jednego wieczora przyszedł on pod jakiś pyszny pałac. Światło błyszczało przez wszystkie okna, i muzyka brzmiała ze wszystkich pokoi. Starzec przeziębły, zgłodniały oparł się o ścianę i płakał. Dochodziły jego uszu wesole okrzyki i tanczników skoki; on stał, jak głuchy, i o córce myślał tylko. Wtem wśród tysiąca głosów jeden głos się śmiechem odezwał — biedny starzec ledwo na ziemię nie upadł: to był głos córki jego. Lecz w tejże chwili, dawne siły odzyskując, pomimo sług, co go wstrzymać chcieli, wbiega do sali, a nie może mówić, tylko:

— Moja córka, moja córka! — i obydwie ręce wyciągnął do księżny, a też tę księżnę to chyba rodzony tylko ojciec mógł poznać, tak była wystrojona, tak dumną stała się panią z ubożuchnej dziewczyny. Jak tylko zobaczyła starca w łachmanach, ledwo jej krew twarzą nie wytrysła.

— Kto mi tu wpuścił tego żebraka? hej! zaraz go wypędzić! — krzyknęła na służbę, i służący, pochwyciwszy biednego starca, na dwór wyrzucili, ale już wyrzucili trupa tylko, bo, jak usłyszał, że go się własne dziecko zaparło, nieszczęśliwy ojciec żyć przestał.

A tymczasem niegodna córka weseliła się w najlepsze, i tak jej dobrze było na tym świecie, że ani nawet wspomniała sobie o drugim. Uciechy po uciechach, dnię po dniach jej biegły, aż też przyszedł dzień Zaduszny. Z rana, jakoś kiedy

w dzwony uderzono, jej się zimno i przykro na duszy zrobiło; kiedy niekiedy niby jej coś do ucha szeptało: »Idź się modlić, idź się modlić za ojcowską duszę«, ale ona, nie zważając na to, chciała inaczej smutkowi zaradzić. Poprosiła księcia, który ją zawsze kochał i niczego jej nie odmawiał, żeby sutą wydał ucztę. Tak się też stało, przybyli goście, znowu zabrzmiała muzyka, znowu zaiskrzyło się tysiące świec jarzących, a piękna księżna co najpiękniejsze rzeczy powkładała na siebie. Suknię wzięła błękitną, jak niebo, trzewiczki srebrne, jak chmury, koronę złotą, jak słońce, a na koronie, na sukni i na trzewiczkach tyle było diamentów, ile gwiazd świeci w pogodną noc zimową, ile kwiateczków rzuciła za sobą, ile łez wylał jej ojciec, a na rękę i na szyi tyle miała kosztownych pereł, ile kropli rosy w letni wieczór spada, ile kroków zrobił, szukając jej biedny starzec, ile uśmiechów od jego zgonu po jej twarzy przebiegło. Oj, bawiła się też, tańczyła wesoło, jak gdyby nigdy nic złego na sumieniu jej nie ciążyło. Zegar bił na ścianie godziny — dziesiątą — jedenastą — nikt nie słyszał, nikt nie myślał o czasie, aż nakoniec i dwunastą uderzył. Nagle, jak gdyby wszystkich odrazu piorun pozabijał. Krzyknęli i ucichli. Och! bo też było czego z przestrachu oniemieć. Z ostatnim dźwiękiem zegaru same drzwi się otworzyły, i wszedł do sali szkielet, na którym kawałki tylko przegniłego ciała wisiały.

— Moja córko! moja córko! — zawołał grobowym głosem i stanął przed księżną.

Księżna zbladła, jak trup, chciała coś mówić —

głosu jej zabrakło, chciała się cofnąć — wszystkie członki skamieniały.

Wtedy widmo zbliżyło się do niej, a za każdym krokiem kość jego nogi dzwoniła o marmurową posadzkę.

— Zapłać mi lzy moje — rzekł ponuro. W tejże chwili, wszystkie dyamenty, z osad wypadłszy, kroplami wody na ziemię się stoczyły, a było ich tyle, ile gwiazd w noc zimową na niebie jaśnieje, ile kwiatków dziewczyna za sobą rzuciła, ile łez wylał jej ojciec.

Potem w milczeniu szkielet wiał długimi pieszczelami białe ramię księżny, odpiął perły — i upadła jedna ręka, wziął drugą, odpiął perły — i upadła druga ręka. Potem aż mu coś straszliwie przez otwory oczu zabłyszczało, zgrzytnął zębami, jak do uścisku objął szyję córki, odpiął perły — i spadła piękna głowa niby kawał ołowiu, i tylko złota korona kulnęła się daleko po gładkiej podłodze. Potem wszystkie świece zgasły, ogień z pod ziemi buchnął, a o księżnie, o księciu, o zamku, nikt już z żyjących nie słyszał, bo tak zawsze Pan Bóg złe dzieci karze.

— I cóż w tem strasznego! — odezwał się zwykłą zwrotką szyderczy, trochę stłumiony głos nieznamojemj prządki; lecz tym razem, nie czekając, aż kto inny mówić zacznie, ponurym jeszcze zapytała tonem:

— Boicie wy się czarta? — Na takie zagadnienie, tak dziwnym zrobione sposobem, mimo-woli dreszcz przeszedł najśmielsze; kowalka niby

z gniewu, a podobno ze strachu, głośno się przeżegnała.

— Ulino, Ulino — szepnęła Jagusia — a czyś ty widziała, jak ona drgnęła na znak krzyża świętego?

Ulina spuściła głowę, dając do zrozumienia, że potwierdza to spostrzeżenie. Wszystkie wrzeciona wolniej się zaczęły kręcić, tylko nieznajoma, jak gdyby nie zważała na ogólne podziwienie, prędko ruszała palcami, bez przestanku warczało jej wrzeciono, a z piersi, jak gdyby z podziemia jakiego, wydobywały się słowa następującej powieści:

— Dawniej byłam najpiękniejszą z tej wioski; takie miałam długie włosy, że, jak rozpletłam warkocze, tom się mogła nimi, niby płaszczem, osłonić. O moich oczach wszyscy chłopcy mówili, że mi chyba nigdy z niemi zimno być nie może, bo moje oczy błyszczały jaśniej, niż gwiazdy na niebie. Byłam biała i rumiana, jak śnieg w pogodny dzień zimowy o zachodzie słońca, a moje nóżeta, drobne, małe... och! pewno, gdybym nie była lekka, jak piórko, wysmukła, jak trzcina, to bym chodzić na nich nie mogła.

Przy niedzielnych tanach nigdy mi też tancerzy nie brakło. Sam nasz panicz młody nieraz po mnie i do chaty przyszedł, żebym z nim poszła krakowiaka wywinać, ale ja nie lubiłam tanów, ani tancerzy, ani panicza nawet.

Mówiono o mnie, że posepniejsza byłam wśród innych dziewczyn od czarniejszego świerku wśród innych drzewek majowych, że smutniej wygląda-

łam, niż płacząca wierzba na cmentarzu. Ja nie wiem tego — i owszem, przypominam sobie, że to był czas najszczęśliwszy w całym życiu mojem. Prawda jest, nigdy ja się nie śmiałam, ale też nie płakałam nigdy... nawet w kościele na najrzewniejszym kazaniu naszego plebana, nawet na pogrzebie przy trumnie ojca i matki. Bo czegoż ja miałam płakać? Kiedy ksiądz piękną mówił naukę, to mi się zawsze zdawało, że on powtarza tylko moje własne myśli, a sierotą będąc po cnotliwych, bogobojnych rodzicach, według mego sądu, byłabym zgrzeszyła niepotrzebnym żalem. Miałam ja też inną myśl jeszcze w głębi serca, zapewne przyczynę wszystkich moich nieszczęść, myśl dumną, przeciw której nie dosyć osłoniłam i wzmocniłam duszę moją. Oto zdawało mi się, że koniecznie prosto do nieba pójść muszę, że nie dla mnie czyściec i pośmiertna pokuta. Ach! dumą najsmadniej człowiek upada!

Zrywałam powoli wszystkie moje stosunki z tym światem. Nie miałam ani krewnych, ani przyjaciół, ani znajomych prawie. Najwięcej dni schodziło mi samotnie; przędłam, śpiewałam nabożne pieśni albo odwiedzałam cmentarz, na którym ojciec i matka byli pochowani.

Raz nawet całą noc przy ich grobie spędziłam — ja nigdy nie bałam się grobów — całą noc mówiłam pacierze, a kiedy dzień już poczynało, urwałam dwa kwiaty bielutkiej lilii, która przez moje starania ślicznie się na mogile rodziców przyjęła, na tych kwiatkach uroczystą złożyłam przysięgę, że ich się nie tknie ręka śmiertelnika.

Och! co w tem, to dotrzymałam obietnicy.

Gdy zeschy białe lilie, zaszyłam je w czarny szkaplerz i od tego czasu ciągle miałam je na piersiach z małym wizerunkiem Najświętszej Panny, który mi w dzieciństwie jeszcze matka z Częstochowy była przyniosła.

Czasem przychodziła mi wielka ochota, żeby do klasztoru wstąpić: ale już to żal mi było mojego zakątka, już też odstręczały mnie te modlitwy, jakimiś dziwnymi odmawiane słowa, a do tego wszystkiego czytać nie umiałam; zostałam więc w ojczystej zagrodzie, nuciłam z pamięci »Kiedy ranne wstają zorze« lub coś podobnego i czekałam, rychło Pan Bóg śmierć ześle, do nieba mnie weźmie.

Jednego dnia — była to wigilia świętego Jana — wszystkie dziewczyny z naszej wioski w świętecznych wystąpiły ubiorach. Każda niosła wianek czy z bylicy, czy z ruty, czy z paproci i biegła do rzeki, bo na rzece chłopcy w czółnach już czekali na płynące równianki.

Z tych chłopców smutno przeszedł jeden pod mojem okienkiem.

— Niech będzie Chrystus pochwalony — rzekł do mnie i stanął nieśmiały.

— Po wszystkie wieki wieków — odpowiedziałam, wcale nie zważając na niego.

— Czemu, Maryino, nie wijesz wianeczka?

— Alboż ja taka, jak inne, ciekawa? one się chcą dowiedzieć, czy w tym roku za mąż pójda, a ja...

— A ty — przerwał mi biedny chłopiec z żywością — a ty, Maryino?

— A ja wiem, że nie pójdę ani w tym roku, ani w przyszłym, ani nigdy.

— Ha, to już po mojem święcie — rzekł ciszszej trochę i spuścił głowę, a mnie się zdawało, że dwie łzy po jagodach mu się stoczyły; — czegoż będę szukał wśród wszystkich wianków na Wiśle, kiedyś żadnego swojemi rękoma nie splotła? Zegnaj z Bogiem, Maryino.

I odszedł powoli, kilka razy zwrócił głowę, myślał, że go przywołam może, lecz ja patrzyłam na lilie z grobu zerwane i powtarzałam sobie:

— Żaden śmiertelnik tych kwiatów nie ruszy, żadnego kochać nie będę — a te słowa znaczyły wtenczas, że tylko Bogu chciałam się oddać.

Wieczorem tegoż samego dnia, tak było piękne niebo i księżyc taki jasny, że mi się nigdy równie cudownym nie zdawał, nawet teraz, gdy jest rzadkim, upragnionym dla moich oczu widokiem.

Już nie wiem, ile czasu przesiedziałam w okienku, goniąc chmury oczami, licząc gwiazdy złociste, gdy wtem zdawało mi się, jak gdyby cień jakiś między mną a księżycem przeleciał. Odwracam się nagle i — ledwo oczom dowierzać mogę, nieznamy mężczyzna był przy moim boku, na mojem ramieniu wsparł głowę.

Krzyknęłam z przerażenia, gniewem przejęta, chciałam go daleko od siebie odepchnąć — ale nie było nikogo — powietrze, samo powietrze, a w niem ten obraz niezmienny.

Poznałam wtedy, że to wszystko widzeniem tylko było. Strach mój zupełnie ominął, boć nieraz już w moich zadumach przychodziło mi na myśl, jakbym ja to była szczęśliwa, gdyby mi Pan Bóg na cud jakiś patrzeć dozwolił, lub żeby mnie anioł z białymi skrzydłami wzniosł między modre obłoki. Otoż w tej chwili zdawało mi się, że moje życzenie było spełnione i że którego ze sług Bożych widzę przed sobą. Z całą więc radością serca zawołałam na niego:

— Aniele!

Podniósł czoło, a to czoło było bielsze i piękniejsze, niż srebrny księżyc, który mi się przed chwilą tak ślicznym wydawał — tylko oczy jego... ach! jakże mam blask oczu jego wypowiedzieć, kiedy one były ciemne, a świeciły — istnie jakby dwa czarne płomienie. Znowuż mnie strach ogarnął, i drżącym głosem zapytałam się go:

— Czy ty jesteś aniołem?

— Jestem posłannikiem aniołem — po cichu mi odpowiedział, nad mojem uchem schylony — jestem aniołem i kocham ciebie, Maryino albo raczej Maryo, bo przecież to jest twoje właściwe imię. Kocham ciebie, Maryo — dam ci królestwa, światy całe, tylko mnie kochaj wzajemnie.

— Aniele — odrzekłam mu na to z przykrem zdziwieniem — jesteś aniołem, a mówisz do mnie, jak mówi każdy człowiek z tego świata, kiedy chce biedną uwieść dziewczynę. Ja cię już oddawna kocham, aniele, pożycz mi tylko dwóch skrzydeł, polecę z tobą w obłoki.

— Och, nie żądaj odemnie takich niepodo-

bnych rzeczy, Maryo, bo ja dla ciebie oddałbym wszystko, wszystko, nawet to, co było — a gdy nie mogę czego według twojej woli uczynić...

— To prosz dobrego Boga; Bóg proszącym daje.

Dziwne zjawisko znowu głowę na moje ramię pochyliło.

— Zostań tu, gdzie jesteś, zostań taką, jaką jesteś — mówił do mnie po cichu, lecz prędko i z żywością — jesteś najpiękniejszą wśród wszystkich córek ziemi — och! i najczystsza także, bo inaczej nie byłbym nawet pomyślał o tobie — a tym ostatnim słowem tak dziwne towarzyszyło brzmienie, że mimowolnie zadrżałam.

— I czego się lękasz? — rzekł znowu duch niepojęty — jesteś kochana i piękna, czego się lękasz? czego pragniesz jeszcze? Szczęścia czy mądrości? Och, ja wiem wszystko — złe i dobre, śmierć i życie — ja cię nauczę tajemniczych słów zaklęcia, niedościgłych cudów — powiedz? Może chcesz żyć wiecznie, jak Ten, co sam jest wiecznym; może chcesz świat mieć w swej dłoni, żebyś się nim bawiła, jak On waszą ziemią?

— Boże! Boże! — zawołałam przelękniona — jeśli jesteś aniołem, w jakież słowa odzywasz się do mnie, biednej dziewczyny? Twój głos powinien być słodkim i łagodnym dla duszy, jak pierwsze dni wiosny dla polnych kwiateczków, a one niepokoją mi serce, jak burza sierpniowa. W imię Boga!...

On znowu głowę spuścił.

— W imię Boga, mów mi o niebie tylko.

— O niebie — zawołał z dziką rozpaczą — niema dla mnie już nieba, tylko w oku twojem.

— Tyś szatanem! — krzyknęłam z przerażeniem i skoczyłam na drugą stronę izby — ale on i tam był przy mnie, z okropnym śmiechem przemówił do mnie w te słowa, które dziś może lepiej pamiętam, niż je rozumiałam wtedy.

— Szatanem? — nie, jeszcze nie zgadłaś, ja tylko brat duszy szatana, z wieczystej ciemności przybyłem do ciebie. Och! Maryo, nie chcę ja dłużej ciebie zwodzić — dumny jestem, a większa mi będzie chwała, gdy czarta czartem pokochasz — i słuchaj, Maryo — powiedziałem sobie, że tak być musi, Maryo, tak będzie, chociażbym miał zapomnieć, że kiedyś w niebie byłem.

Gdy skończył mówić, uczułam jakby dotknięcie ognia na moich ustach, potem w jednej chwili duch zniknął, i nie zdążyłam nawet wzniesć ręki, żeby go Krzyżem świętym przeżegnać. Jakiś płomień rozdarł ziemię, gęste chmury jasny księżyc ociemniły — ja, drżąca, sił pozbawiona, uklękłam do modlitwy, chciałam zawołać: »Boże!« — zawołałam: »Czarcie!« — i padłam bez przytomności na ziemię.

Już dawno dzień był, kiedym przyszła do siebie; zrazu nie mogłam wszystkich myśli zebrać, ale przyzwyczajona ręka sięgnęła do Najświętszej Panny wizerunku i liści grobowych — zaraz mi cała rzeźkość wróciła, mogłam wstać, wyjść z chaty.

Kiedy niekiedy wielkie krople deszczu z siwego nieba spadały; ślizką gliniastą ścieżką wdrapałam się aż na wierzchołek pagórka, na którym stał nasz kościół. W kościele nikogo nie zastałam, tylko trumna stała w kaplicy Jezusa Nazareńskiego,

i stary ksiądz mszę odprawiał przed Panny Maryi ołtarzem.

Uklękałam na boku i płakałam tak mocno, że aż się ksiądz obrócił i patrzył na mnie zdziwiony, lecz to mu nie przeszkodziło dalej mszy odprawiać, a ja ciągle głowę spuszczałam, żeby białej Hostyi nie skalać oczyma, temi oczyma, które na okropne nocne zjawiska patrzyły — i ciągle moje czoło na zimnych kamieniach kościelnej posadzki leżało.

— Czy myślałaś, Maryo, że się tutaj przedemną ukryjesz? — odezwał się nagle głos przy moim boku... Ach! to znowu był on!

Bo, słuchajcie tylko, moje miłe, łatwo się bronić od upiora szkaplerzem, od złej duszy kropidłem, ale przed czartem niema obrony: wejdzie zawsze i wszędzie — do kościoła i do karczmy, do pałacu i do chałupy. — Przed czartem niema schronienia!

Ach! co mi wtenczas ten zły duch szeptał do ucha, to sama nie wiem, czy w waszych ziemskich słowach potrafię wam to wyrazić.

— Maryo piękna — mówił do mnie — Maryo moja, nie Maryino, jak po dziś dzień zwali cię ludzie, co za chwała, co za szczęście, być z tobą razem przed Jego ołtarzem! Ja Go nienawidzę, a ty Go dla mnie opuścisz, ty — najpiękniejsza ze wszystkich kobiet, które On na wyobrażenie piękności swojej myśli stworzył.

— Zmiłuj się nademną! — wołałam ze łzami, żeby głos czarta zagłuszyć, a ksiądz mówił »Christe eleyson« i nie obejrzał się nawet w moją stronę.

Czart rozśmiał się okropnym, szyderyczym śmiechem.

— Maryo, mniej życia jest w tym starcu, niż w tej umarłej dziewczynie. Spójrzyj-no tylko na trumnę. Dziewczyna bardzo młoda, w twoim wieku — Bóg ją dał najpierw za całe bogactwo ubogim rodzicom, potem matce, chorej wdowie, za jedyną pociechę zostawił. Wczoraj dziewczyna wesoło z innemi nad rzekę pobiegła. Utopiła się — inne wróciły oznajmić biednej matce, że już nie ma dziecięcia, a matka nie umarła. Lecz ty Boga dobrym nazywasz! Dobrym — tego Boga, który na was tyle cierpień zsyła, który nam całą wieczność mąk piekła przekazał? Wszakże, gdyby chciał, mógłby cię przedemną obronić, a nie robi tego, bo nie chce. Za cóż go kochasz?

Przerażały mnie te bluźnierstwa, ale nie mogłam nic w mojej duszy na odpowiedź znaleźć. Wyciągnęłam tylko ręce ku obrazowi Najświętszej Panny i z całą rozpaczą upadającego serca krzyknęłam:

— Maryo!

Czart znowu się roześmiał.

— Och! piękne to jest imię, ono mnie także zwabiło do ciebie. Marya — Matka Boża, Marya — czarta oblubienica. Będą dwie Marye. — Zdaje mi się, jak gdybym jeszcze więcej kochał cię za to.

Trudno mi teraz jeszcze opowiedzieć, co ja cierpiałam, tych słów słuchając: tarzałam się po ziemi, chciałam sobie głowę rozbić o kamienne stopy świętych figur. Okropność, okropność, co się ze mną działo!

Ksiądz nabożeństwo skończył, przeszedł koło mnie z małym chłopczykiem, który mu był do

mszy służył, a dziecko ze strachem wskazało na mnie, mówiąc po cichu: »Waryatka« — a ksiądz przełękniiony powtórzył nieco głośniej: »Waryatka« i śpiesznie odeszli obadwa — może chcieli pomocy wezwać. Nie wiem, ale tak się przestraszyłam, że zerwawszy się, zaczęłam uciekać, biedz jak strzała, i póty, póty biegłam, póki zmęczona, bez tchu nie upadłam w lesie pod spalonym od pioruna dębem.

Och! wtedy zaprawdę byłam waryatką.

Noc nadeszła, a ja nie mogłam sobie przypomnieć, skąd przyszłam, gdzie iść było trzeba. Wtem spostrzegłam w powietrzu jakby zwolna płynący płomień; jasny był, jednakże nie rozpędzał ciemności. Bez myśli jakoś położyłam rękę na kwiatkach grobowych i wizerunku Panny Maryi. Płomień zatrzymał się przy moim boku.

To on był. Jak i pierwszym razem, wziął na siebie postać młodzieńca, objął mnie ramieniem swoim, a na mojem gorącą oparł głowę. Nie odepchnęłam go tym razem. Sama nie wiedząc, co czynię, zaczęłam się bawić jego czarnymi włosami i cieszyłam się, jak dziecko, że za każdym ich dotknięciem ogniste promienie biegły pod moimi palcami. Jakiś czas milczeliśmy oboje, aż nakoniec on pierwszy się odezwał:

— Rzuć to, co masz na piersi — rzekł do mnie — to mnie w skronie rani.

Może z przecucia wahałam się jeszcze — nie wykonałam rozkazu. Wtenczas czart zerwał mi z szyi czarny szkaplerz z białymi liliami, a ja naśladując jego poruszenie, cisnęłam daleko od siebie Najświętszej Panny wizerunek.

A potem okropność, okropność znowu.

Szkielety nas otoczyły piekielnym tańcem, wiatr świszcział przez ich kości i wyschnięte piersi, jak przez żalodne piszczałki organów — każda głowa wyszczerzała na mnie zęby z okropnym śmiechem, aż krew mi się lodem w żyłach ścięła... Wtem nagle te głowy, te kości, te szkielety wałą się jedne na drugie, tworzą zrazu stos niewyraźny — obrzydliwy — lecz... Ach! drzę jeszcze na samo wspomnienie: dwa kościotrupy w znak krzyża na wierzchu się wznoszą... O, co za świętokradztwo! toż to wszystko ołtarzem być miało.

Czart z radości strasznym zawył głosem.

— Maryo — rzekł do mnie — po chrześcijańsku za żonę cię pojmem. Mamy ołtarz, będą przysięgi. Książd nawet, jeżeli zechcesz... ale jaki? Ha, już wiem...

I świsnął przeraźliwie, aż się po boru rozległo, i w tejże chwili wzniosła się przed ołtarzem jakaś biała postać; był to świeży trup — miał oczy napół otwarte, twarz siną i nabrzęklą, pierś mocno wzniesioną, a woda mu z włosów strumieniami ściekała.

Czart mnie z sobą pociągnął ku niemu. Zdało mi się, że za mojem przybliżeniem zbladła twarz trupa; здавало mi się jeszcze, że ja tę twarz pierwszej gdzieś widziałam, tylko piękniejszą, weselszą... ale gdzie, kiedy, nie mogłam sobie przypomnieć. Byłam zupełnie obłąkana.

Padłam na kolana i on — on, czart, uklęknął także przed tym bluźnierczym ołtarzem. Wziął moją rękę, uczułam boleść, jak gdyby od sparze-

nia; lecz trup położył na złączonych dłoniach naszych swoje wilgotne, zlodowaciałe palce — i zadrżałam od zimna.

— Maryo — czart mówił — jeśli mnie chcesz kochać, musisz się zaprzeć wszystkiego, wszystkiego, co ci dotychczas świętem się zdawało, Maryo, wszystkiego.

Milczałam.

— Maryo, czy chcesz mnie kochać?

Milczałam jeszcze.

Wtedy on pochylił się ku mnie swoim białym czołem, spojrział swojemi czarnemi oczyma. Był posepny, lecz piękny, jak niebo wśród burzy, i odezwał się znowu takim słodkim głosem... och! tak słodkim, że nie wiem, czemu Pan Bóg dał go kusicielom.

— Maryo, ja ciebie kocham.

— Ja ciebie kocham — powtórzyłam wtedy.

— A więc zapierasz się Boga Ojca? — zawołał z dziką radością.

— Zapieram się Boga Ojca.

— Zapierasz się ukrzyżowanego Chrystusa?

— Zapieram się ukrzyżowanego Chrystusa.

— I Ducha Świętego?

— I Ducha Świętego.

— I Panny Maryi, patronki twojej?

— I Panny Maryi, patronki mojej.

— I Świętych Pańskich i Aniołów Bożych.

— I Świętych Pańskich i Aniołów Bożych.

— Zapierasz się duszy twego ojca?

— Zapieram się duszy mego ojca.

— Zapierasz się duszy świętej matki twojej?

Och! na te wyrazy głosu mi w piersiach nie stało — jak nieżywa, na ziemię upadłam. Zaraz też kogut zapiał — ołtarz, trup, szkielety, wszystko się czarnym dymem rozwiało — tylko czart został przy mnie, bo czart jeden dziennego światła się nie lęka, chociaż woli czarnej nocy ciemności. Kazał mi zły duch, żebym go odtąd zawsze przy spalonym dębie czekała.

Już słońce wysoko było na niebie, kiedy się rozstał ze mną. Zaczęłam biedz ku wsi: mały krzyżyk, co świecił na wieżyczce kościoła, boleśnie, jakby ostrzem żelaza, oczy moje raził. Odwróciłam się więc w przeciwną stronę i dopiero nad brzegiem rzeki zatrzymałam. Woda w rzece była czysta i błękitna, jak niebo w tym dniu pogodne; ścisnęło się moje serce, gdym patrzyła na jej cichą spokojność; może byłabym zapłakała — to tak miło zapłakać! — ale w tejże chwili głośne łkania zwróciły moją uwagę. O kilka kroków od siebie ujrzałam jakąś dziewczynę, schyloną nad ciałem topielca, którego woda do połowy na brzeg wyrzuciła, a do połowy w zioła rosnące nad brzegiem uwikłała.

Chociaż zapomniałam wielu innych rzeczy, pamięć litości została mi w duszy; pobiegłam do płaczącej dziewczyny.

— Idź precz, nie zbliżaj się do mnie — z największem oburzeniem zawołała. — Mój biedny brat, on z twojej przyczyny umarł, Maryino — bodajby cię wiecznie sumienie dręczyło! Mój biedny brat! — ty nie jesteś Maryi wybraną, nie jesteś Maryiną —

tyś mnie pozbawiła brata. O, mój bracie, mój biedny bracie!

Z przerażeniem spojrzałam na trupa. Ach, tak, to był ten sam trup nocny — ostatniem wysileniem rozumu wszystko sobie przypomniałam — to był trup człowieka, który mnie kochał, który w wigilię świętego Jana przyszedł pod okienko zapytać się mnie: »Czemu, Maryino, nie wiesz wianeczka?«

Na to wspomnienie uczułam w sobie coś dziwnego, jak gdyby mi się z serca ostatek żal dobywał — i potem zapomniałam wszystkiego. Od tego czasu śmiałam się, śpiewałam; dziwne zjawiska snuły mi się przed oczami, a kiedy mówić o nich zaczynałam, każdy się żegnał; chłopięta na mój widok uciekały pierzchliwe, a stare kobiety mówiły pacierze. Jeśli na swojej drodze dwoje nowożeńców spotkałam kiedy, to pan młody bladł z przestachu, panna młoda płakała, bo mówili, że ja złą wróżbą jestem; jeśli kiedy matka widziała, że na jej dziecko spoglądam, to drżąca, przerażona unosiła je co prędzej, a jej przekleństwa goniły za mną, choć już daleko w lasy, w góry uciekałam.

Co noc pod spalonym dębem czekałam na mego kochanka i prędko nauczyłam się rozpoznawać przyćmiony płomień, którym on do mnie się zbliżał, wśród wszystkich błędnych ogniów, co, jak pszczoły, dokoła nas po powietrzu latały. Mój kochanek lubił, kiedy mu śpiewałam, bo, jak często powiadał, śpiew młodej dziewczyny niebo mu przypominał. Mój kochanek miał takie białe czoło, że nieraz pytałam go się, dlaczego mu Pan Bóg tak wiele jeszcze jasności na skroniach zostawił; a on

wtedy opowiadał mi, że ze wszystkich czartów ostatni swoją gwiazdzistą utracił koronę, że był w niebie aniołem miłości.

— Wielbiłem Boga, a kochałem szatana — mówił raz do mnie — kiedy przyszła godzina powstania, nie walczyłem z drugimi, tylko głowę skrzydłami okrywszy, płakałem ze smutku, nieznanego pierwej uczucia. W myśli mi nie powstało, żebym kiedyś mógł Przedwiecznego opuścić, ale kiedy piorun zemsty czy sprawiedliwości w mych braci uderzył, gdy najjaśniejszy wśród wszystkich szatan, brat mojej duszy, strącony do przepaści został, wtedy ja także cisnąłem mój promienny wieniec, i za mną ostatnim niebo się przywarło.

— Ach, od tego czasu! — mówił czart z taką boleścią, że najnieszczęśliwszy człowiek wyobrażenia o niej mieć nie może — ach! od tego czasu wiele ucierpiałem! W piekle nikt nie kocha, a cóż ja bez miłości jestem? Oto jestem, czem będzie ziemia wasza, gdy Bóg słońce nad nią zgasi. Ja nawet nienawidzić zupełnie nie umiem; pogardzają mną inne czarne duchy, bo jeszcze mało złego zrobiłem na świecie.

Wtenczas ja rzekłam do niego, szczęśliwa prawie, że go mojem nieszczęściem będę mogła pocieszyć:

— Zgubiłeś moją duszę, czarcie.

— Tak, Maryo, przyszedłem, żeby ją zgubić, i pewno ta zdobycz przeszłaby blaskiem swoim wszystkie zdobycze szatana, ale tyś jeszcze niezupełnie mi ślubowała, tyś jeszcze niezupełnie moją.

— Och! ja twoją — mówiłam mu na to —

twoją na wieki! Czy chcesz, żebym przeklinała Wszchemocnego Boga za to, że cię potępił, mój piękny z jaśniejącą skronią aniele? Czy chcesz, to będę bluźnić, przeklinać... — Czart nie chciał tego. Ale... Nie lękajcie się, wy, co mojej powieści słuchacie.

Na takie ostrzeżenie właśnie wszystkie wrzeciona, wszystkie kołowrotki stanęły, tylko nieznamoma prządka szybko nic swoją kręciła.

— Ale kazał mi przekląć duszę mojej matki.

Przekląć duszę matki, która mnie pocałowała najpierwszym pocałunkiem, uśpiła snem najpierwszym, ostatnią pobłogosławiła modlitwą! Och! nie mogłam tego zrobić. Dostrzegłam jego smutek i... umarłam.

Nastąpiła chwila milczenia; wszystkie kobiety ze strachem spozierały na ową dziwną postać, jakby naprzekór w najciemniejszej stronie izby siedzącą, a wśród wszystkich serc jedno małe serduszko najmocniej biło przerażeniem i nadzieją. Ona zaś tak dalej mówiła:

— Zimna to, zimna noc była! Śnieg przypruszył moje ciało, a nikt po nie do lasu nie przyszedł. Nie miałam krewnych, przyjaciół, znajomych...

A moja dusza biegła przestrzenią pod sąd Boga i widziała wiele rzeczy i zrozumiała wiele cudów, których pierwaj nie mogła pojąć. Widziała ducha utopionej córki, jak ze snem pociechy ku ubogiej wdowie dążył. Widziała w promieniach jasności mnóstwo niegdyś bladych i znędzniałych twarzy. Widziała nawet błotem od ludzi zarzucone i zmażane krwią niesłusznych wyroków cienie, jak brały

jasny męczenników wieniec, i błyskały nim ponad ziemią i wabiły nowych wyznawców, nowych męczenników do nieba. Widziała to wszystko dusza moja, aż na nią groźny głos Pana zawołał:

— Duszo niewierna, zaparłaś się Boga Ojca!
A Chrystus rzekł także:

— Dla twego zbawienia umarłem. Zaparłaś się ukrzyżowanego Chrystusa, niechaj ci się stanie wdług sprawiedliwości.

A Duch święty — biała, światła gołębic — rzekł także:

— Rozświeciłem twą duszę darami moimi — zaparłaś się mnie, niech się stanie Słowo Chrystusa.

A Marya Panna, patronka moja, rzekła także:

— Zaparłaś się i mnie, ja nic dla ciebie uczynić nie mogę.

A święci Pańscy i aniołowie Boga rzekli także:

— Zaparłaś się nas, biada tobie!

A głos, który wśród tysiąca innych poznałam, rzekł także:

— Zaparłaś się duszy twego ojca... — lecz nie miał siły potępieniem tak okropnych wyrazów dokończyć.

Nastąpiła chwila straszliwej cichości. Zdawało się, że Bóg czeka jeszcze, ale żadnej modlitwy nie było słyhać, coby z ziemi za grzeszną duszę prosiła. Już czułam męki wiecznego zatracenia, ogień piekielny powoli mnie ogarniał, gdy wtem — duch jakiś czysty, promienny, opuścił chóry błogosławionych i w pokorze przed tronem Boga klęknął:

— Panie, jesteś sprawiedliwy i miłosierny — zanucił dźwięcznym, cudnym pieniem. — Panie! ona

się nie zaparła swej matki! Panie, chwała Tobie!...
Panie, litości jej!...

Nadzwyczajnym blaskiem zajaśniało oblicze Boga i twarze świętych aniołów: był to uśmiech Najwyższego, przyjmujący modlitwę świętej matki za grzesznem dziecięciem. Ten, co sądzi, rzekł do mnie:

— Będziesz zbawioną.

Ustały cierpienia mej duszy, i zadrżałam przezcuciem wieczystego szczęścia; lecz głos Wszemocnego rzekł jeszcze:

— Idź, duszo, kędy grzeszną byłaś; gdy robak ziemi poźrze serce twoje, skoro chrześcijańskie ręce pogrzebią twego trupa, wrócisz do nas.

I na te słowa zamknęło się niebo przedemną, i wróciłam pokutną duszą pod dąb w lesie od pioruna spalony.

Robak ziemski obwinał się wkoło mego serca, czułam każde jego ukąszenie, jak gdybym żyła jeszcze. Pod śniegowem nakryciem drżał mój trup od zimna. A kiedy letnie słońce roztopiło śniegi, to pod upałem wiednął i syczał z gorąca. Słyszałam nieraz i trąbki myśliwych i rąbiącą siekierę leśników, ale nikt nie przyszedł pod dąb od wszystkich wyklęty!...

Nad zapomnianym moim szkieletem wiele zim śniegiem już sypnęło, wiele lat gorącym słońcem zaświeciło. Robak ziemski już pożarł serce moje — czuję to, bo do reszty znikła szalona miłość moja — a jeszcze nikt nie przychodzi.

Och! jakże mi zimno — ten śnieg, na który wy tylko z izby przez okno patrzycie, ja go czuję, jak

bryłami na kości moje się wali. — Chrześcijańskie dusze, miejcie litość nad trupem! — Ognia! ognia najpierw! potem piasku garsteczkę — mnie tak zimno w lesie, na śniegu, na słoście... Ale już czas...

I umilkła, a wielki ścienny zegar w przyległym jadalnym pokoju północ bić zaczął.

Kilka kobiet padło na kolana, pani domu wstała ciekawa, dziecko zaś, które przy niej było, szeptało sobie po cichu: »zobaczę ducha, zobaczę ducha!«

Z ostatniem uderzeniem zegaru prądką nagle się zerwała, rzuciła przęślicę na ziemię, skoczyła do komina i... w głos śmiać się zaczęła.

Najstrachliwsze podniosły nakoniec oczy i najstrachliwsze także śmiać się zaczęły, bo ta, co stała przed niemi dziewczyna, i na żdbło podobieństwa nie miała z trupem, szkieletem, pokutującą duszą. Była rumiana, jak wisienka, a chichotała, jak najszczęśliwsze w świecie stworzenie. Wszyscy dopiero poznali w niej Jadwigę z Krzywicy, krewną Uliny.

— Ach! zobaczmy teraz — mówiła z dumą i uśmiechem zarazem — zobaczmy teraz kto weźmie nagrodę. Mam ja sześć nawitych grubych, jak butelki, wrzecion. Ale ja nietutejsza, moje śliczne prądko, ja z Krzywicy jestem, gdzie to len taki nędzny, żebyście go dotknąć nie chciały. Jużście z nas dosyć naszydziły, teraz nasza kolej. Wszak prawda, imościulku, że ja wszystko zabiorę?

— Juścić prawda, że tobie się należy — rzekła dobra pani — ale nie bardzo jestem ci wdzięczna, żeś mi inne prądko twoją historią zbałamuciła.

— Och! moja kochana imościulku, już ja za to na który inny wieczór przyjdę czas stracony

wynagrodzić: ani słowa nie powiem, tylko ciągle będę przędła.

— I owszem, moja Jadwigo, przychodź nam bajki prawić, dzisiejsza nieźle ci się udała, tylko mi więcej nie strasz moich kobiet.

— Już ja też więcej takich nie umiem. Na ten raz tylko przygotowałam się u nas we dworze, a sama panienska ze trzy dni mnie uczyła, gdzie mówić po cichu, gdzie głośno.

— Oho! jak widzę, to zupełny był spisek — przerwała pani z uśmiechem — nawet Ulina do tego należała i sprowadziła cię znienacka.

— Za to ją nauczyłam piosenki — odpowiedziała Jadwiga, serdecznie ściskając kolana dobrej pani, która jej oddała wstążkę, jabłka i orzechy.

— Dobranoc wam, moje dzieci — rzekła potem do wszystkich.

— Niech Bóg da jutra szczęśliwie doczekać — odpowiedziały przychylnie, i... skończyła się wieczorynka z wielkim moim smutkiem, że prawdziwego ducha nie widziałam.



402/1000

BIBLOTECZKA

UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

		Kop.
28.	Rzewuski Henryk. Kazanie konfederackie. — Ksiądz Marek (z Pam. Soplicy)	6
29.	» » Tadeusz Rejten (z Pam. Soplicy)	6
30.	» » Sawa — Pan Borowski (z Pam. Soplicy)	10
31.	Sienkiewicz Henryk. Pieszo przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) I.	10
32.	» » Pieszo przez Czarny Łąd (Listy z Afryki) II.	10
33.	» » Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży)	8
34.	» » Z puszczy amerykańskiej » »	8
35.	Prus Bolesław. Kamizelka. — Michałko	8
36.	Dygasiński Ad. W puszczy.	12
37.	» » Wilk, psy i ludzie	10
38.	Junosza Klemens. Wilki. — Wesolego	8
39.	Tetmajer Kaz. Ksiądz Piotr	6
40.	Gomulicki W. Chałat	8
41.	Żeromski Stef. Zmierch. — Cokolwiek się zdarzy	6
42.	Skarbek F. Łukasz Stempel	6
43.	» » Mundur, — Jaszczułt	6
44.	» » Dwie siostry. — Przewoźnik	6
45.	Wilkoński A. Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek który na własne oczy widziałem	6
46.	» » Gorzkie wspomnienia	8
47.	» » Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek.	6
48.	Żmichowska N. Prządki, powieść ze wspomnień dzieciennego wieku	8
49.	Sienkiewicz H. Z puszczy Białowieskiej	6
50.	» » Niewola Tatarska	8
51.	» » Pójdźmy za nim	8
52.	Łętowski Jul. Wawrzyńcowie	8
53.	Sienkiewicz H. Za chlebem	20
54.	» » Ze wspomnień nauczyciela poznańskiego	10



WYBÓR PISARZÓW POLSKICH DLA DOMU I SZKOŁY.

DOTĄD WYSZŁY:

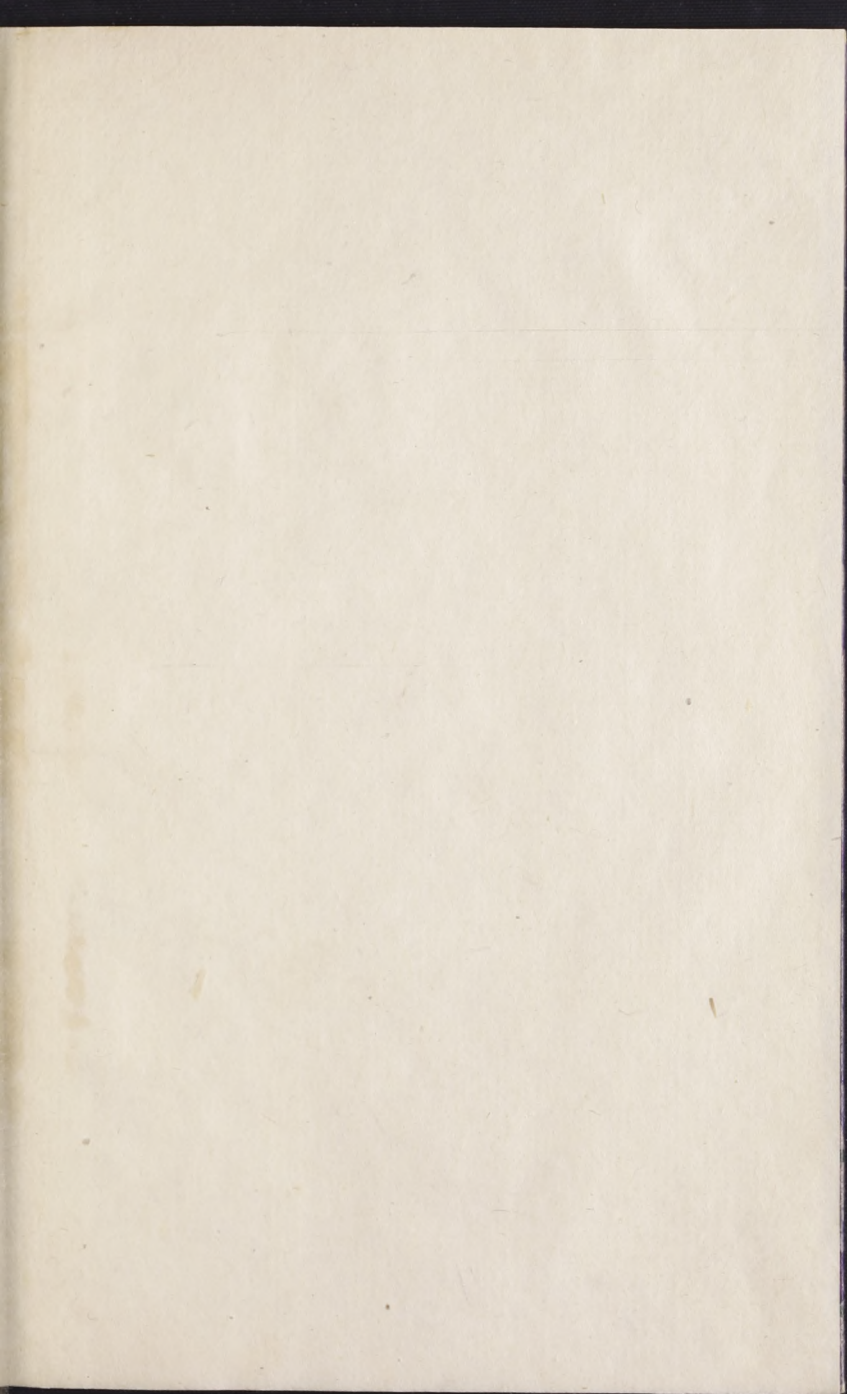
1. **J. Kochanowski.** Treny. k. 15
2. **A. Mickiewicz.** Grażyna. . 15
3. **J. Kochanowski.** Odpawa
posłów greckich. 15
4. **A. Mickiewicz.** Konrad
Wallenrod. 20
5. **K. Brodziński.** Wiesław. . 15
- P. Skarga.** Kazania sejmowe.
(Wybór) 20

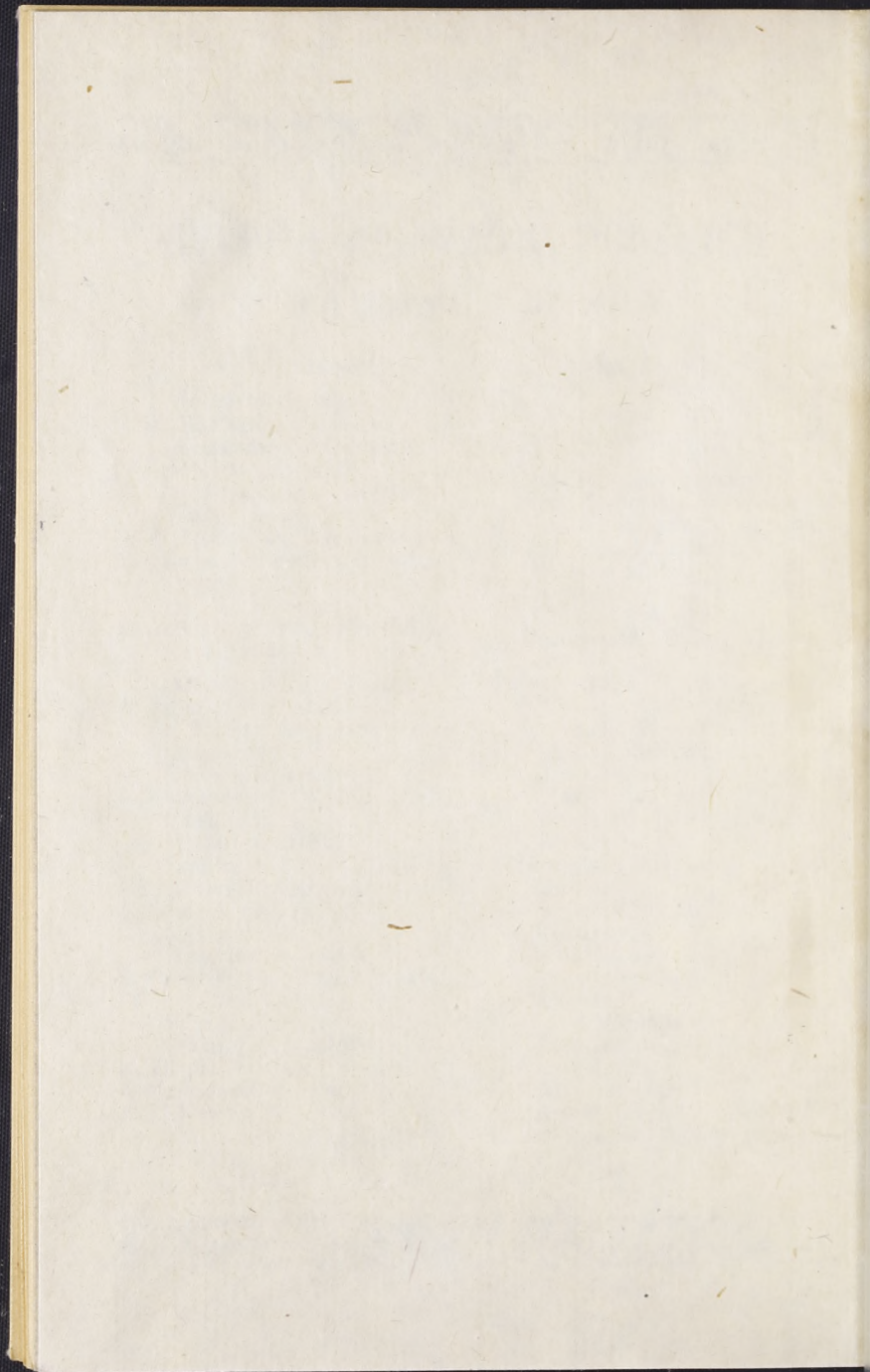
DALSZE TOMIKI BĘDĄ ZAWIERAŁY NASTĘPUJĄCE UTWORY:

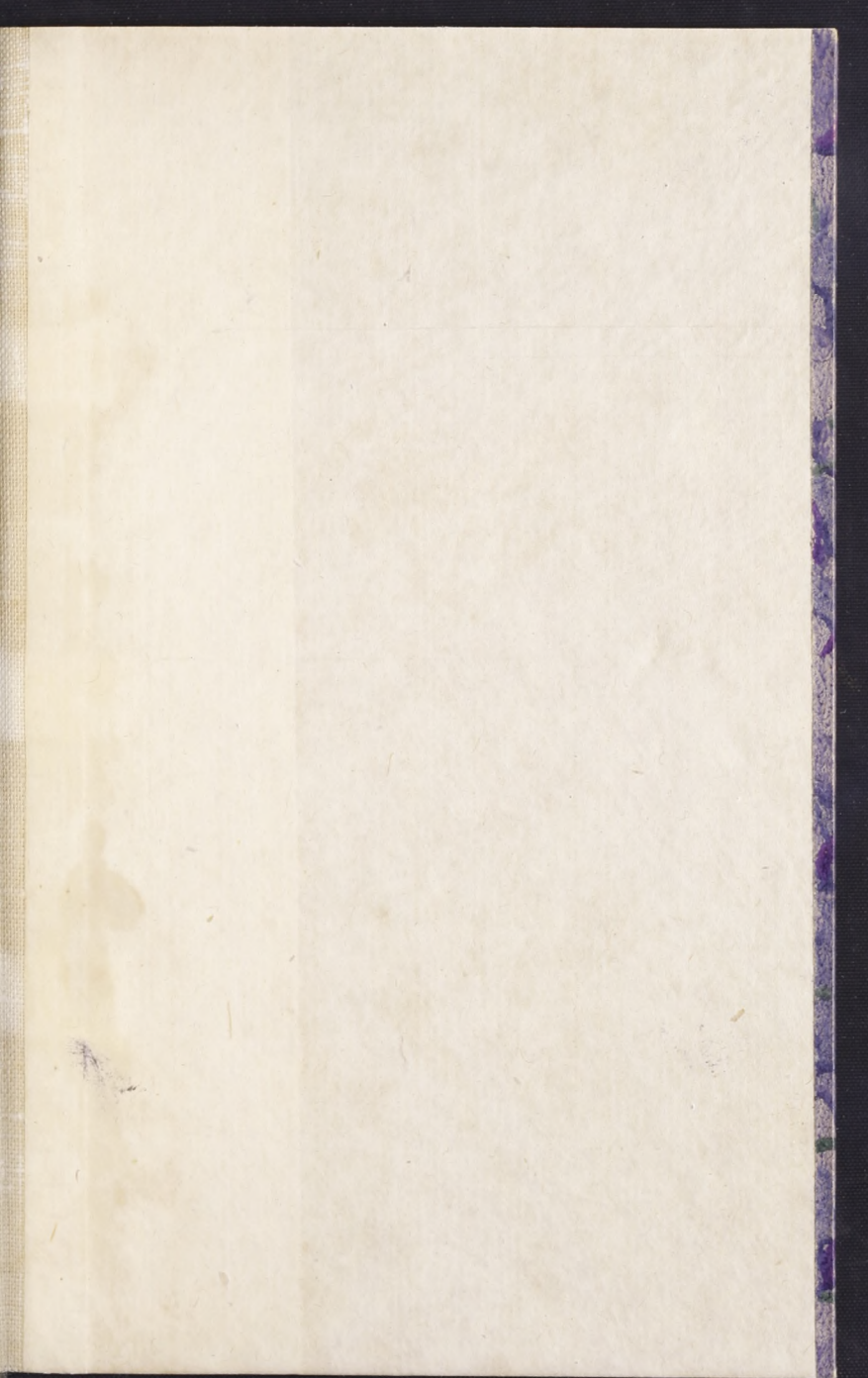
- A. J. Czartoryski.** Bard polski.
A. Feliński. Barbara.
A. hr. Fredro. Zemsta za mur
graniczny.
— Śluby panięskie.
J. Kochanowski. Wybór pieśni
i psalmów.
— Wybór fraszek.
— Szachy.
J. Korzeniowski. Karpaccy górale
I. Krasicki. Satyry.
— Myszeis.
— Doświadczyński.
Z. Krasieński. Nieboska komedia.
— Irydion.
— Przedświt.
— Psalm przyszłości.
K. Libelt. O miłości ojczyzny.
A. Malczewski. Marya.
A. Mickiewicz. Dziady.
— Księgi narodu i pielgrzym-
stwa polskiego.

- A. Mickiewicz.** Sonety.
— Drobne wiersze.
J. U. Niemcewicz. Powrót posła.
— Dwaj panowie Sieciecho-
wie.
— Poezje patryotyczne.
J. Pasek. Pamiętniki.
W. Potocki. Wojna chocimska.
W. Pol. Pieśni Janusza.
— Pieśń o ziemi.
— Mohort.
— Obrazy z podróży.
M. Romanowski. Dziewczę z Są-
cza.
K. Szajnocha. Jadwiga i Jagiełło.
— Wybór szkiców historycz.
L. Syrokomla. Wielki czwartek.
— Janko Cmentarnik.
— Bez chleba.
— Ułas.
— Urodzony Jan Dęboróg.
— Wybór liryk.
J. Słowacki. Bielecki.
— Mnich.
— Godzina myśli.
— Kordyan.
— Balladyna.
— Trzy poematy.
— Anbelli.
— Lilla Weneda.
— Beniowski.
— Król-Duch.
K. Ujejski. Wybór.
F. Zabłocki. Firecyk w zalotach.
G. Żmichowska. Wybór liryk.
— Poganka.











49862



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001002115634